

Poznaj Świat

Cena 10,90 zł (w tym 8% VAT)

DRŹNICZO-GEOGRAFICZNY

3
2015

str. 50

IRAN

WŚRÓD OSTATNICH NOMADÓW

str. 26

LIBERIA

POŻEGNANIE Z DZUNGŁĄ

str. 38

USA

KAJAKOWE KOLORADO

**ANDRZEJ
BARGIEL**

**NAJSZYBSZY
HIMALAISTA**

str. 14

INDIE STR. 82

OSIOŁKIEM PRZEZ HIMALAJE

SZWAJCARIA STR. 68

KRAJ JAK MALOWANY

ARGENTYNA/CHILE STR. 60

PO WODACH ZIEMI OGNISTEJ

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



9 1770052 0614506 03

**STOCZNIĄ
GDANSKĄ**

STR. 96



Wszystkie urządzenia.
Jeden dysk.
Bez kabli.



My Passport™ Wireless
Przeñośny dysk Wi-Fi®



My Passport Wireless to jeden dysk dla wszystkich Twoich urządzeń. Zapisuj zdjęcia i pliki ze wszystkich Twoich urządzeń na jednym przenośnym dysku bez użycia kabli czy Internetu. Uwolnij przestrzeń dyskową na swoim tablecie i smartfonie. Twórz kopie zapasowe lub przenoś swoje zdjęcia i filmy z karty SD, aby zwolnić miejsce na nowe. Możesz także streamować zawartość do Smart TV, smartfonu i tabletu. Bezprzewodowo. Przenośnie. Jeden dysk bez ograniczeń. Więcej informacji: wd.com.

WD
absolutely™

WD, logo WD i My Passport są zastrzeżonymi znakami towarowymi firmy Western Digital Technologies, Inc. w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach; absolutely jest znakiem towarowym firmy Western Digital Technologies, Inc. w Stanach Zjednoczonych i w innych krajach. W dokumencie mogły zostać użyte inne znaki towarowe, których właścicielami są inne firmy. Produkty mogą wyglądać nieco inaczej niż na ilustracjach. Niektóre produkty są dostępne tylko w wybranych krajach. Producent zastrzega sobie prawo do zmiany specyfikacji produktu i opakowania bez uprzedzenia.
© 2014 Western Digital Technologies, Inc. Wszelkie prawa zastrzeżone.

4178-706543-L00 sierpień 2014



TYBET str. 14



IRAN str. 50



INDIE str. 82



USA str. 38



CHILE/ARGENTYNA str. 60

W NUMERZE...

FOTOFORUM str. 4

Najlepsze zdjęcia naszych
Czytelników

POZNAJ ŚMIAŁYCH str. 14

Andrzej Bargiel wbiega
na ośmiotysięczniki,
a następnie zjeżdża z nich
na nartach. **Irena Łaszyn**

LIBERIA str. 26

To kraj o wyjątkowej historii,
na kartach której zapisany
jest również i polski epizod.
Marek Dzierżęga

USA str. 38

Pierwszy polski spływ rzeką
Kolorado. **Tomasz Jakubiec**

GEOSKOP str. 46

IRAN str. 50

Piesza wędrówka przez
ponad 2300 kilometrów,
by poznać ludzi żyjących na
tych nieprzyjaznych terenach.
Łukasz Supergan

TURYŚCI I INNE PRZYPADKI str. 58

Włochy są gdzie indziej?
**Felieton Marty Natalii
Wróblewskiej**

ARGENTYNA/CHILE str. 60

Ziemia Ognista to archipelag,
który najlepiej można poznać
podróżując jachtem.
Karol Janas

SZWAJCARIA str. 68

Tropem kolorowych
malowideł, które zdobią
wnętrza, fasady budynków,
mosty, a nawet rowery.
Marek Pindral

NAVIGATOR str. 76

FOTOGRAF W DRODZE str. 80

Czarno-biały świat.
**Felieton Mikołaja
Gospodarka**

INDIE str. 82

Motocyklem przez Himalaje.
Witold Palak

POZNAJ ZWYCZAJ str. 92

Ona wdzięcznie,
on z przytupem.
Ewelina Korycińska

ŚWIAT W OBIEKTYWIE:

POLSKA str. 96

Była sobie stocznia.
Sławomir Kozdraś

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 104

Z PERSPEKTYWY str. 106

Koty wśród lodów
**Felieton Ryszarda
Badowskiego**

OUTDOOR str. 109

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 112



NA OKŁADCE:
Andrzej Bargiel
w drodze na szczyt

Henryk Kukła

CHILE

Ludzi nie odbiło

W odległości godziny drogi od małego miasteczka San Pedro de Atacama rozciąga się trzeci co do wielkości na świecie Salar de Atacama. Na płaskiej powierzchni Laguny Ceja stężenie soli sprawia, że cienka warstwa wody zamienia się w lustro, stwarzając niesamowity efekt optyczny.







© BENCE MATE, WĘGRY, Czaple w czasie i przestrzeni

Bence Mate (Węgry)

WĘGRY

Czaple w czasie i przestrzeni

KATEGORIA: PTAKI
SEKCJA: RÓŻNORODNOŚĆ ŻYCIA NA ZIEMI
ZWYCIĘZCA

Chociaż czaple nie są typowymi ptakami nocnymi, po ciemku potrafią być bardzo aktywne. Migracja na południe, gdzie spędzą zimę, odbywa się głównie nocą. Na żerowiskach widuje się je zazwyczaj w porze świtania lub o zmierzchu. Zdjęcie, które powstało z kilkukrotnego naświetlania tego samego kadru, zrobiono w Parku Narodowym Kiskunság.

ZDJEĆIE I TEKST POCHODZĄ Z WYSTAWY FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2014, KTÓREJ PATRONEM MEDIALNYM JEST MIESIĘCZNIK POZNAJ ŚWIAT. W DNIACH OD 5 DO 26 MARCA 2015 WYSTAWA JEST PREZENTOWANA W MUZEUM NARODOWYM PRZY UL. WAŁY CHROBREGO 3 W SZCZECINIE. WWW.FOTOGRAFIADZIKIEJPRZYRODY.PL

Paweł Jagiełło

BIRMA

Płyn łódeczko, płyn

Zdjęcie wykonano w wiosce na jeziorze Inle, jednej z wielu, w których chaty stoją na drewnianych palach. Jedynym środkiem transportu są tu łodzie, najczęściej te tradycyjne – o płaskim dnie. Aby i dzieci mogły samodzielnie poruszać się po okolicy, już od najmłodszych lat uczone są sztuki wiosłowania przy pomocy nóg.



Paweł Lechowicz

FILIPINY

Problem z głowy

Ifugao to położona na północy wyspy Luzon górzysta kraina, gdzie ostatniego z łowców głów złapano w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku. Widoczny na zdjęciu osiemdziesięcioletni członek plemienia Ifugao musi jeszcze dobrze pamiętać ich czasy.



Barbara Gromniak-Jarkiewicz

MAROKO

Na pochyłe drzewo każda koza wskoczy

Drzewo arganowe to endemit występujący jedynie w regionie Sus w południowym Maroku. Szacuje się, że na tym terenie rośnie ponad 20 milionów tych drzew, ale liczba ta niestety spada. Kora, owoce i nasiona mają bardzo wiele zastosowań. Olej arganowy używany jest przy produkcji kosmetyków, z nasion wyrabia się olej jadalny, a wyłoki służą jako karma dla zwierząt. Jak widać, owoce są też przysmakiem kóz, które świetnie sobie radzą ze zrywaniem ich nawet z najwyższych gałęzi.



Tomasz Raczyński

PACYFIK POŁUDNIOWO-WSCHODNI

Chcą w dziób

Statki rybackie poławiające na oceanie wabią ptaki morskie, które traktują je jak pływające karmniki. Podczas wybierania trału wokół statku może latać nawet kilka tysięcy albatrosów. Wtedy między ptakami toczy się prawdziwa walka o rybę. Na zdjęciu albatros szarogrzbiety w starciu z czarnobrewymi.



17. Ogólnopolskie Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów



KOŁOSY

Gdynia, 13-15 marca 2015

📍 Gdynia Arena, ul. Kazimierza Górskiego 8

📍 Pomorski Park Naukowo-Technologiczny Gdynia, al. Zwycięstwa 96/98

- prelekcje, pokazy, filmy • seminaria • gala finałowa • wystawy fotografii
- targi książki podróżniczej • targi odzieży i sprzętu outdoorowego

www.kolosy.pl • www.gdynia.pl/spotkania

organizatorzy



MIASTO
GDYNIA



sponsor główny



patroni medialni



Zagle

PODRÓŻE

Laureaci konkursu fotograficznego „Moje małe Himalaje”
zorganizowanego przez www.portalgorski.pl

Maciej Maciejowski

POLSKA

Dialog z księżycem

Pod koniec listopada okolice Morskiego Oka pustoszeją, a nocą liczba turystów spada do zera. Pozostają amatorzy fotografii w oczekiwaniu na odpowiednie warunki. Te nastąpiły, gdy na zachmurzonym niebie ukazało się okno, odsłaniając gwiazdy. Garbaty księżyc prześwitywał zza chmur, a wysoka wilgotność powietrza pozwoliła uchwycić światło czołówki.



Karol Nienartowicz

SZWAJCARIA

Nieznany od tej strony

Polana Hochblauen w Alpach Walijskich to rzadko odwiedzane miejsce. Nie prowadzi tędy żaden wyciąg, a jedyny szlak trzeba pokonać pieszo. Jest to jedno z nielicznych miejsc koło Zermatt, gdzie nie ma infrastruktury turystycznej. Takiego widoku na Matterhorn próżno szukać na szwajcarskich pocztówkach.



Przyślij zdjęcie!

Zachęcamy do nadsyłania zdjęć na adres: redakcja@poznaj-swiat.pl.
W tytule maila należy wpisać „Fotoforum”, a w treści imię i nazwisko autora oraz opis zdjęcia.
Minimalny rozmiar nadsyłanych fotografii to 2 MB.



Irena Łaszyn

WCHODŹ ZJEŹDŹAJ I BĄDŹ SZCZĘŚLIWY







KIERUNEK MANASLU

Andrzej Bargiel przed wyruszeniem na szczyt podczas projektu „Manaslu Ski Challenge” realizowanego w 2014 roku.

MŁODZI PIEJĄ Z ZACHWYTU,
STARSI MÓWIĄ: WARIAT.
PRZECIEŻ NIKT PRZY
ZDROWYCH ZMYŚLACH NIE
WBIEGA NA OŚMIOTYSIĘCZNIK,
ŻEBY Z NIEGO ZJECHAĆ NA
NARTACH! GÓRA WYMAGA
SZACUNKU, TRZEBA JĄ
ZDOBYWAĆ, CELEBROWAĆ
KAŻDY KROK, A POTEM
OSTROŻNIE SCHODZIĆ. ALE ON
WOLI RYWALIZACJĘ OD SZTUKI
CIERPIENIA. NA WIERZCHOŁKU
PRZYPINA DESKI I GNA
W DÓŁ, CIESZĄC SIĘ Z KAŻDEGO
SKRĘTU. I PYTA: PO CO SIĘ
MĘCZYĆ PRZEZ TYDZIEŃ, SKORO
MOŻNA TO ZROBIĆ W 21 GODZIN?

Jesienią 2014 roku w bazie pod Manaslu było kilka ekip. Każda miała inny plan na atak szczytowy. Jedni chcieli po drodze zaliczać wszystkie obozy, inni zamierzali iść od razu do „dwójki” i „czwórki”, by stamtąd piąć się w górę. Andrzej Bargiel nie miał takich dylematów. Jego dewiza to: baza–szczyt–baza. Wbiec, zdobyć i zjechać z wierzchołka na sam dół, bez odpinania nart. Jak postanowił, tak zrobił. Z małą korektą.

– *Najpiękniej było o wschodzie słońca, gdy szedłem z bratem – wspomina Andrzej. – Wspinaliśmy się ramię w ramię, praktycznie do „czwórki”. Ale potem Grzesiek zaczął opadać z sił, a ja musiałem zachować tempo. Wiedziałem, że brat da sobie radę, więc pognałem dalej. Na szczycie, czyli na wysokości 8156 metrów, stanąłem 25 września o godz. 12.06, po 14 godzinach i sześciu minutach od wyjścia z bazy. Otoczyły mnie chmury, byłem zupełnie sam. Spędziłem tam ok. 40 minut.*

Grzesiek pierwszy mu pogratulował. „Wow, brawo bracie!” – powiedział, a on pożałował, że brat zawrócił

SKOK W BOK

Wyjście aklimatyzacyjne na dziewiczy siedmiotysięcznik przy okazji wyprawy na Manaslu.

i w tym najważniejszym momencie nie byli razem. Przecież to Grzesiek, ratownik TOPR i międzynarodowy przewodnik wysokogórski IVBV, wprowadzał go w górski świat.

Zjeżdżał uradowany. Niestety, nie poszło tak, jak planował. Na wysokości 6500 metrów n.p.m. zrobiło się niebezpiecznie, mgła ograniczała widoczność, a było dużo szczylin. Nie zawsze dawało się sunąć po drabinach ułożonych na niektórych z nich. Musiał narty odpiąć. Drogę między obozem drugim a pierwszym pokonał klasycznie, potem znowu przypiął deski.

W każdym razie całość, a więc baza–szczyt–baza, zajęła mu 21 godzin 14 minut. Pobił rekord ustanowiony w 2012 roku przez Niemca Benedikta Boehma. Tamtemu wejście na wierzchołek Manaslu i zjazd zabrały 23 godziny.

ROZSTANIE ZE WSPINACZKĄ

To był jego drugi ośmiotysięcznik. Rok wcześniej, 2 października 2013 roku, zdobył Sziszapangmę Środkową (8013 m n.p.m.) na nartach i zjechał ze szczytu. Wszystkich tym wyczynem zadziwił, choć nie wszyscy zachwyt podzielali. „Pełen szacun!” – gratulowali jedni. „Wariat!” – odzywali się internetowi hejterzy. I pytali złośliwie: „Może następnym razem zjedziesz na misce albo tyłem?”.

– *Ale po co schodzić, skoro można zjechać?* – dziwi się Andrzej Bargiel. – *Na dużych wysokościach nadmiar energii jest na wagę złota, warto się szybko poruszać. Takie zjazdy są więc bardziej naturalne niż schodzenie z góry w trudzie i znoju.*

Czy są też bardziej bezpieczne? Andrzej twierdzi, że tak. Przynajmniej dla niego. Jest narciarzem wysokogórskim, trzykrotnym mistrzem Polski w skialpinizmie i trzecim w klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Ma też większą niż inni wydolność organizmu. Udowodnił to w 2010 roku, gdy wbiegł na Elbrus o pół godziny szybciej niż legendarny Denis Urubko i pobił tym samym rekord świata. To dlatego Artur Hajzer, twórca Polskiego Himalaizmu Zimowego, zaprosił go do swego programu.

Wiosną 2012 roku wziął udział w wyprawie na Manaslu po raz pierwszy. – *Nie było tak, jak sobie wyobrażałem* – wspomina. – *Znalazłem się bowiem w grupie osób, które nie używały nart skiturowych, przegrywały z głębokim śniegiem i zmęczeniem. A ja w ogóle zmęczenia nie czulem. Czulem natomiast, że nie realizuję się tam sportowo. Na szczyt wyruszyłem samotnie, ale gdy dotarłem na wysokość 7600 metrów, kierownik ekspedycji, drogą radiową, kazał mi wracać. Zawróciłem bardzo niezadowolony, bo byłem w dobrej formie.*

W tym samym roku było Lhotse (8516 m n.p.m.). I też nie wszedł na szczyt, jak planował. Pogoda się popsuła, wiatr kładł na kolana, inni himalaiści nakazywali ostrożność. A on jeszcze organizował akcję ratunkową, żeby pomóc jednemu z szerpów. Potem zjechał z obozu czwartego do bazy.

I już nie chciał się wspinać w ramach Polskiego Himalaizmu Zimowego. Nie widział w tym sensu. Odmówił udziału w wyprawie na Broad Peak, która – jak się potem okazało – zakończyła się tragiczną śmiercią dwóch Polaków. Miał własny pomysł na życie, bo inaczej „czytał” góry.

LEW NA SZCZYTACH

– Zrozumiałem, że muszę działać indywidualnie – tłumaczy. – Wymyśliłem Hic Sunt Leones, pięcioletni program, który ma na celu zjazd z najwyższych szczytów Ziemi oraz udowodnienie, że narciarstwo możliwe jest nawet na dachu świata. W górach można się świetnie barwić – dowodzi. – To nie jest sport dla nahludzi.

Hic Sunt Leones (po łacinie dosłownie „Tu są lwy”) oznacza obszary nieznanne, białe plamy na mapach. Bargiel mówi, że zamierza w te nieznanne rewiry wkraczać, a przy okazji odczarowywać stereotyp himalaisty męczennika.

Na Sziszapangmę, podobnie jak rok później na Manaslu, wybrali się w czwórkę. Oprócz Andrzeja i jego brata Grzegorza był Dariusz Załuski, filmowiec i himalaista, m.in. dwukrotny zdobywca Mount Everestu i K2, oraz Marcin Kin, zakopiański fotograf i freerider. Na szczyt miał iść z Grześkiem i Darkiem. Ale pech gonii pecha. Najpierw, na lodowcu, pod Grzegorzem załamał się lód, wpadł do lodowatej wody. Strasznie się przeziębiił i osłabł. Musiał zawrócić. Wcześniej zawrócił Darek. Andrzej został sam. Ruszył w górę. W „trójce”, na wysokości 7500 metrów n.p.m., spotkał Hiszpanów. Narzekali na warunki, mówili, że rezygnują z ataku. Szerpowie, którzy z nimi byli, radzili to samo. Ale on poszedł. – Było ciężko – przyznaje. – Bardzo wiało, a ja brnąłem po pas w śniegu. Czasami musiałem poruszać się na czworakach, by utrzymać się na jego powierzchni. W pewnym momencie, tuż obok, zeszła samoistnie lawina.

Cztery razy szukał właściwej drogi na szczyt. Stromo, wietrznie, niebezpiecznie. I jeszcze ten mokry śnieg. W końcu poszedł dookoła po stromych skałach. Dotarł na sam wierzchołek i natychmiast zapadł się po pas w śniegowej brei. – Osiągnąłem szczyt po 28 godzinach od wyjścia z bazy – opowiada. – Wiało niemiłosiernie, ale bardzo się cieszyłem. A reszta ekipy, tam niżej, cieszyła się razem ze mną.

Potem zapiął narty i ruszył w dół. Tak był zmęczony, że początkowo co kilka minut robił przerwy. Musiał bardzo uważać na śnieg i szczeliny. – Zdarzało się, że podcinałem lawinki, które jak potoki płynęły wokół mnie – tłumaczy. – Ale narty pomagały też przed takimi niespodziankami uciekać.

Zjazd z wierzchołka do bazy trwał godzinę i 20 minut. Andrzej Bargiel był pierwszym Polakiem, który tego dokonał. Kiedyś próbował Jerzy Kukuczka, ale wielki himalaista nie był wielkim narciarzem i nie pokonał na deskach całej trasy, odpinał je po drodze, a nawet zrobił przerwę na nocleg. Hajzer, który był wtedy z nim na



HUSARZ NA STOKU

Słońce, piękne widoki, a narty jak skrzydła husarii!



FOT. MARCIN KW



FOT. MARCIN KW

ODBIÓR NAGRODY

Wspina się, aby zjeżdżać, bo właśnie zjazd jest dla niego główną atrakcją i nagrodą.



FOT. MARCIN KON

PO REKORD

Atak szczytowy na Manaslu, zakończony sukcesem po 14 godzinach i 7 minutach od wyjścia z bazy. Razem ze zjazdem – 21 godzin i 14 minut, o prawie dwie godziny szybciej niż poprzedni rekord himalaisty z Niemiec.

Sziszapangmie, schodził niewiele wolniej, niż Kukuczka jechał.

TWARDE GENY

Skąd w nim, dziś 27-letnim mężczyźnie, taka nieprawdopodobna wydolność? Dlaczego jedni wspinają się na szczyt przez tydzień, a jemu wystarczy kilkanaście godzin?

– *Gdy ktoś nocuje na wysokości 5–6 tys. metrów albo spędza tam dużo czasu, słabnie – uważa. – Tam się organizm nie regeneruje, zmęczenie narasta. Dlatego ja wolę szybko wejść i szybko zjechać w dół. Niejako oszukuję tę wysokość. A sam zjazd daje dużo radości. Bo przecież chodzi o to, żeby z tego, co się robi, czerpać przyjemność. Powtarza, że wspinają się, żeby zjechać, a nie po to, żeby jedynie zdobyć szczyt. Ten zjazd jest nagrodą.*

Skąd pomysł na sport w takim wydaniu? To nie pojawiło się nagle. Dochodził do tego stopniowo. Jest człowiekiem gór, wychował się w Beskidach, od dziewięciu lat mieszka i trenuje w Zakopanem. W domu było ich jede-

naścioro, rodzice mieli małe gospodarstwo, od małego był więc twardy. A poza tym energia go rozsądzała i – tak jak starszy brat Grzegorz – marzył, że zostanie sportowcem. Pierwsze narty sam sobie zorganizował, poświęcając paletki do ping-ponga i szczyryk. Miał wtedy dziewięć lat. Gdy miał siedemnaście, Grzegorz zabrał go na foki. Foki to specjalne pasy mocowane pod nartą, umożliwiające podchodzenie pod strome stoki. Bystry był, więc po paru dniach wystartował w pierwszych zawodach, a w 2008 roku został mistrzem Polski w skialpinizmie.

Ale geny to nie wszystko, zawsze dużo trenował. Zdarzało się, że kończył trening o trzeciej nad ranem albo trzy razy pod rząd wbiegał na Kasprowy. Nic samo nie przychodzi, mistrzostwo wymaga potu i krwi. Wymaga też pieniędzy, a on ich wtedy nie miał. W pewnym momencie musiał nawet z marzeń zrezygnować. Ale na jego drodze pojawił się Artur Hajzer, zabrał go na Elbrus. Okazało się, że Bargiel dobrze sobie radzi na dużych wysokościach. I tak się zaczęło.



KTO MOŻE, TEN MOŻE

Powrót z wysokości 8156 m n.p.m.
„Narciarstwo możliwe jest nawet na dachu
świata, to nie jest sport dla nadludzi”
– twierdzi Andrzej Bargiel. „Można się
w ten sposób świetnie bawić”.

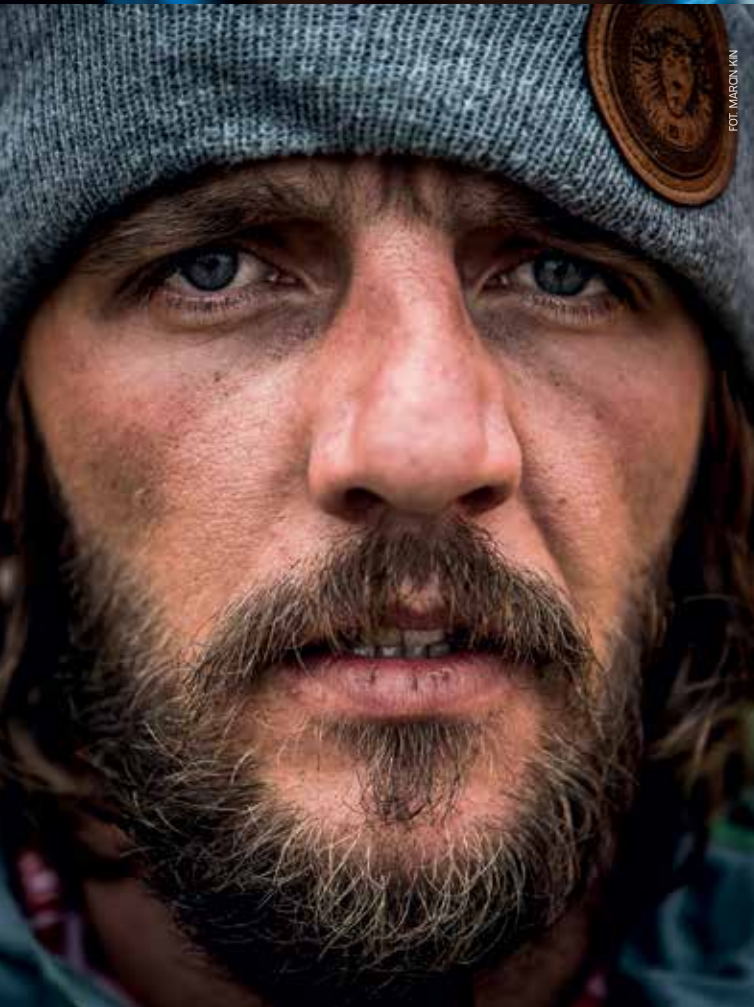
Poznaj śmiałych



FOT. MARCIN KIN



FOT. MARCIN KIN



FOT. MARCIN KIN



FOT. MARCIN KIN

SILNA GRUPA

Uczestnicy wypraw na Sziszapangmę (2013 r.)
i Manaslu (2014 r.), u góry od lewej Andrzej Bargiel,
Grzegorz Bargiel – brat, u dołu Marcin Kin –
fotograf, Dariusz Załuski – operator kamery.



FOT. MARCIN KIN

Twardość przydaje się w każdych warunkach. Taki przykład: w drodze na Sziszapangmę miał wypadek. Gdy przeskakiwał przez lodowcowy potok, kijek zaklinował się między skałami. Na tyle mocno, że „zatrzymał” jego rękę.

– *Upadłem na plecak, a mój bark wyskoczył ze stawu* – relacjonuje. – *Ból był okropny, ale jeszcze gorsza była świadomość, że do najbliższego szpitala jest 40 kilometrów. To oznaczało koniec wyprawy. Błyskawicznie podłożyłem więc kijek pod pachę, zdrową ręką złapałem za tę uszkodzoną, zgiętą w ramieniu. Szarpnąłem w dół, rotując na zewnątrz. Po kosmicznym wręcz bólu odczułem niesamowitą ulgę.*

Szedł wtedy sam, reszta zespołu była wyżej. Zastanawiał się, czy w ogóle im o tym powiedzieć. Przecież i tak by poszedł w górę, a potem by z niej zjechał.

KUCHARZ RENZZI I PRZYCHYLNOŚĆ BOGÓW

Na pytanie, czy bardziej czuje się himalaistą, czy narciarzem, odpowiada: narciarzem. Ale zanim to powie, przez chwilę się waha. Bo to, co robi, nie znaczy przecież, że nie czuje pokory, czy szacunku do gór. Że nie ma w nim romantyzmu cechującego zwłaszcza himalaistów starszego pokolenia. To nie tak. We wrześniu 2013 roku, przed Sziszapangmą, miał trochę czasu na rozmyślania. To wtedy zamieścił na blogu słowa: „Dla mnie góry są jak drzwi do jakiejś tajemnicy, lubię w nich być. Dają mi wolność”.

Czy Himalaje są dla każdego? Właściwie tak. Przecież nie trzeba się wspinać na ośmio-

tysięczniki ani zjeżdzać z nich na nartach, żeby się nacieszyć pięknem tego świata. Wystarczy stanąć u stóp szczytów albo wybrać się na trekking pod Manaslu. Tam nie ma jeszcze masowej turystyki, wydaje się, że czas stanął. Dojeżdżasz do Arughat Bazar, idziesz pieszo doliną rzeki Buri Gandaki, mijasz wioski, które zamieszkują Magarowie, Gurungowie, Bhotiyowie...

Himalaje to także ludzie. Dla Andrzeja najważniejszym tam człowiekiem jest kucharz Renzzi, ojciec piątki dzieci, który traktował go jak własnego syna i już podczas wyprawy na Lhotse nad nim czuwał. A potem, przed każdym atakiem szczytowym, odbywała się *pu-dża*, hinduistyczny rytuał, który miał wyjednać przychyłność bogów.

– *Marcin Kin opowiadał, że Renzzi bardzo przeżywał moje próby* – mówi Andrzej. – *Rozwieszal w odpowiednim momencie flagi modlitewne na górze obok bazy, a gdy już dowiedział się o sukcesie, to śpiewał i tańczył...*

Co teraz? W lutym Japonia, wyspa Hokkaido i jeżdżenie w... puchu. Podobno śnieg jest tam najłżejszy na świecie. Wiosną ma być Alaska i McKinley. Latem chyba Śnieżna Pantera, z pięcioma siedmiotysięcznikami. Zamierza na wszystkie wejść i ze wszystkich zjechać, a trasę baza–szczyt–baza każdorazowo pokonać w czasie mniejszym niż 24 godziny. Wciąż chce być lepszy od Urubki. Rosjaninowi zdobycie pięciu siedmiotysięczników zajęło 42 dni.

A potem może Lhotse i Mount Everest? Jazda bez użycia tlenu. Duże wyzwanie i duża radość. ○

CIĄG DALSZY NASTĄPI

Koniec wyprawy i powrót do Katmandu. Ale nie koniec pięcioletniego programu Hic Sunt Leones („Tu są lwy”). O jego bohaterze usłyszymy jeszcze nie raz.



Irena Łaszyn

Gdańska dziennikarka związana głównie z „Dziennikiem Bałtyckim”. Pisuje o ludziach ciekawych świata, przekraczających granice własnych możliwości. Lubi boczne drogi, miejsca bezładne i to, co za zakrętem.

Ten kraj wzbudza zainteresowanie tylko wtedy, kiedy stanowi arenę rozgrywającej się tragedii. Tak było przed kilkunastu laty, gdy trwała tam brutalna wojna domowa. Tak jest i dzisiaj w związku z epidemią eboli. Tymczasem Liberia to niezwykle miejsce, warte zainteresowania niekoniecznie z powodu dotykających ją nieszczęść.

Marek Dzierżęga

Pożegnanie z DZUNGLĄ



FOT. WAREK DZIEWICZA

Jest jednym z niewielu już obszarów Afryki Zachodniej, którego znaczną część pokrywa las tropikalny. Jest też państwem różnorodnym pod względem etnicznym, założonym przez wyzwolonych niewolników amerykańskich, których potomkowie, wraz z szesnastu plemionami autochtonicznymi, tworzą jeden naród. Jest wreszcie krajem o wyjątkowej historii, na kartach której zapisany jest również i polski epizod.

Spędziłem tam łącznie ponad trzynaście miesięcy, ale dopiero ostatnia wyprawa, w trakcie której przemierzyłem kilkaset kilometrów ścieżkami dżungli, pozwoliła mi na dopełnienie obrazu Liberii.

KOLONIŚCI W KRAINIE BAŚNI

Kiedy w latach 1930. polscy osadnicy z Ligi Morskiej i Kolonialnej, wśród których znalazł się pisarz Kamil Giżycki, zakładali tutaj swoje plantacje, otaczała ich kraina dziewicza. Koncesje, które otrzymali w rejonie miejscowości Salala za rzeką Niafo, 100 km na północ od Monrowii, były najbardziej wysuniętymi przyczółkami cywilizowanego człowieka. Państwo, zwane wówczas przez niektórych Wolną Republiką Murzyńską, nie uległo dominacji mocarstw kolonialnych, a oddziaływanie rządu na tereny w głębi kraju było nieduże. Afroamerykanie nie umieli rozwinąć gospodarki, a wobec braku sięgającego w interior systemu szkolnictwa tamtejsza wielowiekowa tradycja i kultura pozostawały nietknięte.

Kamil Giżycki i jego kompani, nie mając wielkiego doświadczenia w dziedzinie upraw tropikalnych, byli prawdziwymi pionierami. Dla jednych z nich Liberia stanowiła nadzieję na zyskowny interes, dla innych była spełnieniem marzeń, wielką przygodą. Ale Polacy działali tu za ledwie kilka lat i musieli odejść w atmosferze oskarżeń o zbrojenie tubylców i próby podporządkowania sobie Liberii. Giżycki pozostał najdłużej. Z powodzeniem prowadził plantacje, co przerwała II wojna światowa, której wybuch zastał go w Polsce. W wydanych po niej „Opowieściach z puszczy liberyjskiej” wspominał ten kraj z rozrzewnieniem jako „kraj baśni”.

Na terenach zajmowanych niegdyś przez Polaków od lat gospodarzy Salim. Jest on sy-



PO PACHY W RYŻU

Rolnicy z plemienia Mandingo na poletku ryżowym w północnej części regionu Lofa. Gdziekolwiek widać też krzewy manioku, który jest podstawowym jedzeniem Liberyjczyków, bo ryż jest tutaj rarytasem.

FOT. MAREK OZIERZEJA



nem Liberyjki oraz imigranta z Libanu, który w latach 1950. nabył zarastające plantacje od rządu. Zniknęła już dziewicza dżungla okalająca niegdyś pola. Tutejsi ludzie, choć żyją jeszcze dawnymi obyczajami, snując też opowieści o Polakach, mocno się zmienili. Nie polują z włóczniami, ubierają się w t-shirty i chętnie zakładają czapeczki baseballowe. I narzekają na Salima, że mało płaci. A on ledwie wiąże koniec z końcem. Najpierw przeszedł batalię sądową z rządem, który próbował odebrać mu odziedziczone po ojcu plantacje. Kiedy biznes zaczął przynosić zyski, przyszła wojna.

ledowym światłem. Szukając Liberii sprzed lat, wszedłem więc w sam środek zachodnio-liberyjskiej dżungli, gdzie wielka rzeka Lofa dzieli dwa regiony Gbarpolu i Lofa oraz ziemie dwu plemion Belle i Loma.

Wynajmując przewodników na kilkudziesięciokilometrowe odcinki łączące poszczególne wioski, dotarłem do miejscowości Sasasu, co zajęło mi pięć dni. Wędrowałem labiryntem ścieżek, a przez liczne rzeki przeprowadzałem się dłubankami lub służącymi za promy tratwami ciągniętymi wzdłuż przerzuconych lian. Charakterystyczne były „małpie mosty”



FOT. MAREK DZIERŻEGA

PROMO-TRATWA

Przeprawa promowa na jednej z wielu tutejszych rzek. Prymitywne tratwy przeciągane są między brzegami niekiedy przy pomocy lian.

Partyzanci walczącego z Taylorem (prezydent i dyktator, 1997–2003) ugrupowania LURD (The Liberians United for Reconciliation and Democracy) splądrowali plantację, a Salima pobili do nieprzytomności.

MAŁPIE MOSTY I MARZENIE O EUROPIE

Kiedy w 2006 roku odwiedziłem Liberię pierwszy raz, nocami płonęły po wioskach ogniska i światła naftowych lamp. Ogniki i cienie pełzające po ścianach glinianych chat podkreślały prehistoryczny obraz afrykańskiej wsi. Dzisiaj coraz dalej w głąb dżungli docierają tanie chińskie latarki świecące chłodnym

– czasami prymitywne, przypominające poplątane gałęzie, innym razem konstrukcje zapierające dech w piersiach. Blisko stumetrowe giganty rozpięte pomiędzy koronami drzew służą leśnym ludziom od zamierzchłych czasów. Ale żeby je zobaczyć, trzeba zejść z bitych dróg.

Odcinek łączący Belle Fassama z Sasasu przebyłem w towarzystwie Kafu, trzydziestolatka z ludu Belle, który poznawał te szlaki jeszcze jako dzieciak, służąc w armii Charlesa Tylora. Wtedy z karabinem na ramieniu przewędrował do samej stolicy, wycofując się ze swoim oddziałem przed LURD, w którym służyli podobni mu nieletni nieszczęśnicy. Teraz ma kilkuletniego syna i marzy, żeby

LEŚNY CHODNIK

„Małpie mosty”, powietrzne kładki uplecione z lokalnych materiałów budowlanych i rozpięte pomiędzy koronami drzew są starym i bardzo praktycznym wynalazkiem. Służą mieszkańcom dżungli od pokoleń.



FOT. MAREK DZIERŻĘGA



FOT. MAREK OZIERZGA

TROCĘ MAŁO, BĘDZIE WIĘCEJ

Poszukiwanie złota jest tutaj jednym z głównych zajęć młodych mężczyzn. Na tej topacie nie ma prawie nic, ale jak się uzbiera, to będzie można kupić wymarzony motor.

z pracy w jednej z dzikich kopalń złota, jakich wiele w puszczy, zaoszczędzić na podróż do Europy. – *Nie dla siebie, dla syna, bo w Afryce nie ma przyszłości* – podkreśla.

Odkąd w dżungli pojawiły się chińskie radia na baterie, a w większych osadach na jej obrzeżach generatory prądu i telewizory, coraz więcej Liberyjczyków odkrywa swoją biedę i marzy o lepszym świecie. Kiedy opowiadałem, że nie interesuje mnie złoto ani diamenty, na twarzach moich rozmówców malowało się niedowierzanie. Wykorzystanie potencjału turystycznego, jaki kryje ten kraj,

okrążyły budynek należący do Zo, kapłana stowarzyszenia mężczyzn Poro. Dalej, skrępowana łańcuchem zamkniętym na kłódkę, znajdowała się ręczna pompa wodna, jedyne urządzenie pochodzące z cywilizacji białego człowieka – rzecz tutaj bezcenna i pieczołowicie chroniona. Wioska otoczona była pierścieniem poletek wyrwanych z gąszczu mączetą i ogniem. Dalej, na dziesiątki kilometrów rozciągał się las tropikalny.

Puszcza jest spichlerzem i magazynem, a z drugiej strony udręką i przeszkodą. Gdyby tutejsi mieli możliwość, zamieniliby ją

GOSPODARKA RATUNKOWA

Cenne mahoniowe drewno pojedzie do jednego z punktów skupu, na którym rękę trzymają Chińczycy. To oni właśnie, spłacając wierzycieli Liberii, uzyskali dostęp do bogactw tutejszych lasów.



podobnie jak zrozumienie celu mojej podróży, lokowało się poza wyobraźnią tubylców. Gdybym szukał bogactw, byłbym wiarygodny i logiczny, opowiadając zaś, że podróżuję dla poznania świata, że podziwiam las, że interesują mnie zwyczaje – byłem nierozumiany.

POLOWANIE NA WSZYSTKO

Wioska Sasasu, nazywana tu miasteczkiem, liczyła nie więcej niż trzydzieści kwadratowych chat z gliny pokrytych strzechą. Centralne miejsce stanowił *palaver house* – sporych rozmiarów zadaszenie wsparte na drewnianych palach, czyli dom obiad i spotkań mieszkańców. Na skraju stał

w najlepszym przypadku w pola uprawne. W najgorszym – przeoraliby w poszukiwaniu złota i diamentów. Zmartwieniem większości Liberyjczyków jest wyżywienie rodziny, a nie kondycja lasu. – *Ta ziemia kryje bogactwa, ale my nie mamy jak do nich dotrzeć. Potrzebujemy maszyn* – powtarzał Kafu.

Najwięcej drzewa w Liberii pozyskują Chińczycy. Na podstawie umów z rządem uzyskali dostęp do bogactw kraju, w zamian spłacając długi Liberii. Budują też drogi, ale zanim dotrą do najodleglejszych zakątków, już teraz dostarczają Liberyjczykom piły mechaniczne, którymi ci wycinają co cenniejsze gatunki drzew, aby następnie, nieraz dziesiątki kilometrów, taszczyć dwumetrowe kłody

PRAWO DŻUNGLI

Najgroźniejszym przeciwnikiem myśliwych jest lampart, ale jak widać, nie zawsze jest szybszy i sprytniejszy od człowieka.

do punktów skupu. Zaiste, nie ma w nich nic z Na'vi, pięknych dzieci natury z filmu „Avatar”...

Młodzi mężczyźni myślą o wypłukiwaniu złota na brzegach rzek, a ich marzeniem jest motocykl, lecz wielu zajmuje się jeszcze myślistwem. Widziałem, jak moi przewodnicy pod wpływem trzasku łamanych w pobliżu gałęzi zamieniali się w drapieżnych myśliwych. Polują na wszystko, od wiewiórki ziemnej po bawoły, nazywane tu leśnymi krowami. Używają wnyków, ale również prostych jednorurek na śrut. Każdy nabój do nich to niebagatelny tu wydatek jednego dolara amerykańskiego.

ABSOLWENTKA

Dziewczyna z plemienia Kpelle po opuszczeniu „szkoły leśnej”, gdzie młodzi ludzie przechodzą kilkumiesięczny proces wtajemniczenia, pozwalający stać się dojrzałymi członkami puszczęńskiej wspólnoty.



FOT. MAREK DZIERŻĘGA

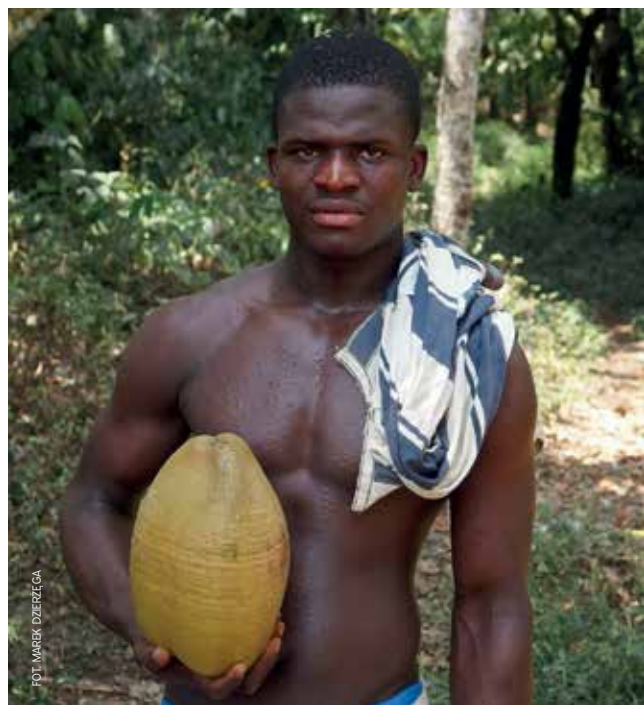
DARZ BÓR

Młody Liberyjczyk dumnie prezentuje blizny wycięte na piersi. Ten tatuaż świadczy o tym, że po przejściu leśnej inicjacji jego posiadacz należy już do stowarzyszenia *Poro*, gromadzącego w swych szeregach myśliwych.

Zanim wszedłem w puszcze, na kilka dni zatrzymałem się w Bopolu, które jest bramą do ciągnącego się 200 km na północ lasu tropikalnego. Sporo czasu spędzałem tu na głównym placu, będącym skrzyżowaniem dróg, targowiskiem, miejscem odjazdu motocykli-taksówek i jadalnią. W cieniu drzewa mango, przy wybudowanym przez ONZ posterunku policji, kobiety sprzedawały *bushmeat* z ryżem – ulubione danie Liberyjczyków. Codziennie dopytywałem, co znajduje się w garnku, a kobiety, tłumacząc mi, z jakiego zwierzęcia jest potrawa, posiłkowały się plakatem WWF „Zwierzęta chronione w Liberii”,

zawieszonym na ścianie posterunku. W garnku najczęściej znajdowały swój koniec małpy, antylopy i jelenie. Zdarza się też spotkać na targowiskach mięso rzadkich już słoni leśnych.

Myślistwo, choć coraz mniej intratne, jest zajęciem przynoszącym uznanie i szacunek. Może dlatego, że nadal jest niebezpieczne. – *Nigdy nie wiesz, na co się natkniesz. Czy rozpoznasz, czyje ślepie goreją w zaroślach* – mówi Kafu, który sam jest myśliwym. – *Jeśli będzie jeleni – będziesz świętować. Jeśli leśna krowa – będziesz w tarapatach. Bestia, zanim wyda z siebie ostatnie tchnienie, niechybnie zdoła cię zmiażdżyć. A czymże jest krowa przy lamparcie!*



FOT. MAREK DZIERŻĘGA

ANIMIŚCI POSTĘPOWI

Mówiąc o spotkaniu z leśnymi gigantami, Kafu odruchowo przyciskał do piersi zawieszony na szyi zawiniątko, jakby to w nim kryła się moc dająca siłę do ich pokonania. To talizmany podarowane przez *Zo* – kapłana *Poro*, znawcę świata tajemnego oraz pośrednika między światem ludzi i duchów. Bo większość myśliwych należy do stowarzyszenia *Poro*. Przez ramiona Kafu i jego muskularną pierś, niczym drobne korale zawieszony na szyi i spięte na plecach, biegły do łędźwi dwa rzędy blizn. Ślady po nacięciach stanowiących znak rozpoznawczy członków *Poro*.



KI DIABEŁ?

Diabeł wschodniej Afryki. Bohater wielu obrzędów plemion Liberii, Sierra Leone, Wybrzeża Kości Słoniowej i Gwinei. Pojawia się podczas ślubów, pogrzebów oraz innych ceremonii, jak ta, kiedy mężczyźni opuszczają „leśną szkołę”.

FOT. MAREK DZIEŻEŁKA

Za wioską Sasasu, w tajemnej części dżungli leży wydzielone plecionym ogrodzeniem miejsce zwane przez tubylców leśną szkołą, do której wejścia bronią symbole zrozumiałe tylko dla ludzi lasu. Po przejściu szkoły człowiek staje się istotą pełnowartościową, niejako nabywając duszę. Tam znajduje się świat duchów i pradawnych animistycznych zwyczajów. Biada temu, kto nieproszony wejdzie w jej progi. Pobyt w szkole trwa zazwyczaj kilka miesięcy, a wyjście z niej jest świętem dla całej okolicy, w lesie słychać śpiew i odgłosy bębnow. Oprócz męskiego *Poro* jest też stowarzyszenie żeńskie *Sande*.



FOT. MAREK OJERZEJA

MIESZKANIE NA POLANIE

Wioska w dżungli na kawałku tropikalnego gruntu, wyrwanego z gęszczy maczetą i ogniem.

Wśród plemion Liberii, w szczególności zamieszkujących wewnątrz kraju, stowarzyszenia stanowią centrum życia społecznego. Obok tych głównych istnieją też splecione z nimi stowarzyszenia ludzi zwierząt: ludzi krokodyli, ludzi bawołów i najpowszechniejsze ludzi węży. Związana jest z nimi wiara w zdolność przemieniania się ich uczestników w zwierzę patrona. W przeszłości funkcjonowały też „elitarnie” i krwiożercze stowarzyszenia ludzi lampartów, które wymagały ofiary z człowieka. Dopelnieniem ofiary był akt kanibalizmu – zwierzę przecież poluje, aby jeść. Były one mocno zwalczane przez rząd i od dłuższego czasu nie słychać o ich działalności.



FOT. MAREK OJERZEJA



TEŻY DO STOLICY

Malowniczy koniec dnia na trasie z Bopolu, głównego miasta regionu Gbarpolu, do Monrowii. Takie drogi w tym biednym kraju to norma.



Pascal

udane wakacje

www.pascal.pl

R E K L A M A

Ale w dalszym ciągu zdarzają się zabójstwa związane z rytuałem *gboyo* opartym na wierzeniu, że użycie mikstury zawierającej fragmenty ludzkiego ciała przyczynia się do osiągnięcia sukcesu. Nie wykluczone więc, że stowarzyszenia te w konspiracji funkcjonują nadal.

Jak to wszystko pogodzić z faktem, że mieszkańcy Liberii w większości są chrześcijanami, a na skraju prawie każdej wioski stoi większa chata, która jest kościołem? Wydaje się, że oba te światy, egzystujące równolegle, są tu potrzebne. *Poro* łączy tubylców z przedchrześcijańskim światem przodków. Chrześcijaństwo zaś oznacza dla Liberyjczyków postęp i cywilizację, za którą tak tęsknią. Niestety, jest to postęp na chińską nieekologiczną modłę, więc prawdopodobnie prowadzący do zguby Liberii jako „krajny baśni”. ○



Marek Dzierżęga

Z zawodu funkcjonariusz policji. Pracował jako obserwator ONZ i UE na misjach w Kosowie, Gruzji i Liberii. Podróżuje najchętniej po krajach Afryki. Za samotne przejście dżungli Liberii Zachodniej w 2013 roku otrzymał nominację do Kolosa w kategorii Podróż.

KAJAKOWE KOLORADO

Tomasz Jakubiec

Wielki Kanion Kolorado to jeden z najbardziej rozpoznawalnych cudów natury. Na obszarze zbliżonym do powierzchni Polski rozciągają się setki kilometrów fantastycznie wyłobionych przez wiatr i wodę wąwozów, dolin i uskoków. Jednak to, co widać z góry, jest ułamkiem tego, co można zobaczyć, schodząc w głąb. Nam jako nielicznym dane było to ujrzeć. Jako pierwsza polska wyprawa w kajakach i na pontonach pokonał każdy kilometr rzeki Kolorado płynącej przez Wielki Kanion.

Kolorado, przebijając się przez Wielki Kanion na odcinku 450 km, tworzy ponad sto uskoków, zwanych *rapidami*. Kilkanaście z nich jest bardzo niebezpiecznych, a bystrze Lava Falls uważane jest za najtrudniejszy *rapid* Ameryki Północnej. Wszystkie są wyzwaniem nawet dla doświadczonych kajakarzy górskich. Chętnych do zmierzenia się z nimi są setki tysięcy. Jednak dostęp do środka i spływu rzeką jest ściśle reglamentowany przez władze parku narodowego. Co roku wydają pozwolenie tylko dla 25 tysięcy osób. I ani jednej więcej.

19 LAT W KOLEJCE

Pierwsza próba pokonania Wielkiego Kanionu przez polskich kajakarzy miała miejsce w 1980 roku. Członkowie słynnej wyprawy Canoandes (późniejsi zdobywcy najgłębszego kanionu świata Colca w Peru i 12 innych dzie-



wicznych rzek od Meksyku do Ziemi Ognistej) nie mieli pozwolenia. Spłynęli górny odcinek rzeki poza jurysdykcją parku i ruszyli dalej zdobywać sławę i miano współczesnych konkwistadorów.

Po raz drugi polscy kajakarze próbowali w 1994 roku. Kolejna grupa z krakowskiego klubu „Bystrze” AGH dotarła nad krawędź kanionu z kajakami na dachu samochodu. Również bez pozwolenia. Byłem członkiem tej wyprawy. Liczyliśmy na swój spryt i umiejętności pokonywania przeszkód wyćwiczone w ciężkich realiach schyłkowego komunizmu. Niestety, konfrontacja z niewzruszoną i niezwykle praktyczną w egzekwowaniu przepisów administracją parku odwołała nas od próby płynięcia bez pozwolenia. Podobnie jak nasi poprzednicy musieliśmy zadowolić się pokonaniem odcinków rzeki poza granicami parku. Poczuliśmy jednak przedsmak tego, czego nie dane nam było przeżyć, i postanowiliśmy nie odpuścić. Po powrocie do kraju niektórzy z nas zapisali się do długiej kolejki pragnących samodzielnie zorganizować spływ tą niepowtarzalną rzeką. Z szacowanych początkowo 5 lat zrobiło się 19.

Niektórzy z nas z czasem zapomnieli o kolejce. Realizowaliśmy kolejne cele i wyzwania. Ale mieliśmy w swoim gronie upartego górala. Krzysiek Potaczek, zwany Sabałą, wziął się i przez wszystkie lata pilnował spraw kolejkowych. Dzięki jego wytrwałości i pod jego kierownictwem w sierpniu 2013 roku znów stanęliśmy nad krawędzią kanionu.

Na odcinku 450 km do rzeki prowadzą trzy drogi. Pierwsza do miejsca wyładunku sprzętu Lees Ferry, druga na 362. km rzeki



CZERWONA GROTA

W gigantycznej skalnej Redwall Cavern uczestnicy spływu ustawili się w nazwę swojego klubu – „Bystrze”.

i ostatnia na początku jeziora Mead, gdzie planowaliśmy zakończyć spływ. Przed nami było nie lada wyzwanie. Nie da się upchać do kajaków wszystkich niezbędnych i wymaganych przez przepisy rzeczy na 18 dni dla 16 osób. Musieliśmy zabrać ze sobą pontony i to był największy problem. Na kajakach potrafimy pływać, robimy to od lat na rzekach znacznie trudniejszych od Kolorado. Z ponto-

sialiśmy przeprowadzić je bezpiecznie przez dziesiątki bystrzy. Wywrotka i utrata ładunku równała się konieczności ewakuacji. Dlatego do udziału w wyprawie zaprosiliśmy dwoje doświadczonych *boatmanów* – Mike’a i Chris. Mieli nas nauczyć przeprowadzenia pozostałych pontonów.

Efekty niezwykle restrykcyjnych przepisów chroniących to miejsce przed ingerencją czło-

OSIĄGNĄĆ DNO

Po wielu latach starań polscy kajakarze wreszcie na dnie Wielkiego Kanionu! Na pozwolenie od władz parku narodowego czekali prawie dwie dekady.



nami sterowanymi dwoma długimi wiosłami, obciążonymi prawie toną sprzętu i żywności, nie mieliśmy do tej pory do czynienia. A mu-

wieka obserwowaliśmy z podziwem, zatrzymując się podczas spływu. Po poprzednikach zostawały tylko ślady stóp na piasku. Żadnych

MARMOROWY KANION

Wbrew nazwie ściany Marble Canyon zbudowane są z czerwonego piaskowca.

śmieci, miejsc po ogniskach, resztek żywności, smrodu po krzakach. Był to efekt żelaznej zasady – zabierać ze sobą absolutnie wszystko, co się przywiozło. Temu podporządkowany był niezwykle praktyczny system przewozu żywności, wyposażenie kuchni i kilkanaście brązowych skrzynek po amunicji, w których lądowały efekty przemiany materii neutralizowane przez środki chemiczne. To działało.

CUDÓW WIELKICH KANION

Ruszyliśmy pamiętne dla nas 7 sierpnia. Początkowe kilometry prowadziły przez Marble Canyon. Wysokie, pionowe, wyszlizgane przez wiatr i wodę ściany ciągnęły się kilometrami. Czerwony piaskowiec kontrastował z błękitem nieba. Rzeka, jakby dostosowując się do bajkowych widoków, na początkowych kilometrach nie nastroczała większych problemów. Dała powoli oswajać się ze swoim ogromem. Mielśmy dużo miejsca do manewrowania, ale nurt, przyspieszający na spadkach i *rapidach*, wymagał wcześniejszego reagowania i sporej siły. Trochę minęło, zanim przestawiliśmy się na potrzeby tego giganta.

Dzień zaczęliśmy około 6. Szybkie śniadanie przygotowywały kolejne czteroosobowe wachty. Zwijanie namiotów i kuchni zajmowało do 2 godzin. Na wodzie spędziliśmy

kilka następnych. W połowie planowanego na dany dzień odcinka zatrzymaliśmy się na krótki postój z lekkim posiłkiem. Plan płynięcia był precyzyjnie przygotowany, aby móc obejrzeć jak najwięcej wartych tego miejsc. Bardzo pomogła nam mieszkająca w Arizonie Polka Slawa Nicholson. Zakochana w Wielkim Kanionie zwiedziła go podczas wieloletnich wędrówek wzdłuż i wszerz. Dzięki jej

Z FINEZJĄ PRZEZ USKOK

Spływ rzeką to nie tylko bajkowe widoki. To również twarda walka z dzikim żywiołem podczas pokonywania uskoków, zwanych *rapidami*. Ponton prowadzi Finezja, czyli Marek Śpitalniak.



cennym radom nie ominięliśmy nieświadomie wielu prawdziwych perełek. Po południu dościeraliśmy do biwaku. Tam szybkie robija-



FOT. TOMASZ JAKUBEC

W PONTONIE NIE UTONIE

Te łodzie były bardzo ważne, bo mieściły wszystko, co niezbędne do przeżycia na rzece przez 18 dni.

nie obozowiska i wypad do ciekawych miejsc w pobliżu. Po powrocie wachta szykowała główny posiłek.

Pomysłowość natury była równie wielka jak miejsce, w którym się znajdowaliśmy. Zachwycała nas gigantyczna grotta Redwall Cover wyżłobiona przez wodę i wiatr w czerwonej piaskowej skale. Mogła pomieścić ludność małego miasteczka. W kanionie Havasu brodziliśmy w turkusowej, ciepłej wodzie płynącej kaskadami jego dnem. Kanion Deer

Creek oferował kąpiel u podnóża 50-metrowego wodospadu z krystalicznie czystą wodą i wycieczkę do misternie wypłukanego kanionu powyżej niego. Z góry rozpościerał się widok na najwyższy odcinek Kolorado, którym wcześniej płynęliśmy.

W Matkatamiba przeciskaliśmy się wąskim kanionem, którego dnem płynął niepozorny strumyk. Ściany przypominały mi ludzika z reklamy Michelin. Zwiedzaliśmy również rozległe doliny, które kończyły się wąskimi zaciskami wymagającymi dalszego wspinania z odpowiednim sprzętem. Czasami nasza drużyna komandosów, spragniona dodatkowych wrażeń, zapuszczała się w te trudno dostępne miejsca. W mojej pamięci na zawsze pozostanie zapierający dech widok z wysokiej ściany, na którą wdrapaliśmy się z mozołem, żeby dotrzeć do spichlerzy Indian Anasazi sprzed prawie 3 tysięcy lat. U naszych stóp meandrowała rzeka. Gdyby nie wysokie, czerwone ściany kanionu, można by rzec: prawie jak nasz poczciwy Dunajec w przełomie!

BYSTRZE NA RAPIDACH

Trudności zaczęły się po pięciu dniach, poniżej połączenia z Little Colorado, dopływem niosącym ogromne ilości piasku barwiącego piękną szmaragdową wodę na kolor kawy z mlekiem. Mniej więcej na tej wysoko-

CHWILA PRAWDY

Każdy długo analizował, czy jest gotowy do zmierzenia się z największym wyzwaniem na Kolorado – *rapidem* Lava Falls.



FOT. TOMASZ JAKUBEC

W TRZEWIACH ZIEMI

Schodząc w głąb Blacktail Canyon, można oglądać niewystępujące nigdzie indziej formacje skalne – świadków formowania skorupy ziemskiej.





FOT. TOMASZ JAKUBEC

ŁUKI NA RAPIDZIE

Granite Rapid pokonuje Łuki, czyli Łukasz Pająk.

ści wplynęliśmy we właściwy (geologicznie) Wielki Kanion. Na przywitanie zmierzylismy się z kilkoma poważniejszymi bystrzami huczącymi już z dala kotłującą się na spadkach wodą. Mike ocenił zbliżające się *rapidy* na tyle

cy pontony okazali się urodzonymi *boatmanami* – Finezja, Stefan i Smoku przeprowadzili „rafty” bez pudła przez najtrudniejsze bystrza.

Pierwszym *rapidem* z serii powyżej 7. stopnia trudności (na Kolorado stosowana jest 10-stopniowa skala) był Granite. Zanim zmierzylismy siły z tą przeszkodą, mieliśmy możliwość podejrzenia, jak radzi sobie z nią mijający nas spływ. Na 10 pontonów 3 miały wywrotkę, a większość spore problemy z utrzymaniem kierunku płynięcia. Rzeka obracała je we wszystkie strony, zalewała falami, przechylała niebezpiecznie na boki. Na duchu podniósł nas trochę Łuki,



FOT. TOMASZ JAKUBEC

BYSTRZAKI

Uczestnicy spływu – członkowie krakowskiego klubu „Bystrze”.

poważnie, że zarządził szkolenie z podnoszenia wywróconego pontonu. Nie jest łatwo odwrócić takiego kolosa. Dobrze, że nie musieliśmy w praktyce sprawdzać kilku sposobów, jakie pokazał nam „na sucho”. Nasi prowadzą-

który spłynął dwukrotnie bystrze, za drugim razem wykonując niesamowity lot kajakiem, wybity w powietrze przez pędzącą falę. Na drugi dzień mocno spięci ruszyliśmy i my. Poszło gładko, choć bez piruetów się nie obeszło.



Tego dnia czekały nas jeszcze dwa miejsca z górnej półki. Co prawda na Hermicie zaliczyliśmy „kabinę kajakarza”, ale była to jedyna na całym spływie i choć dla przyzwyczajenia wypadła ją zaliczyć. Pozostali przeszli bezbłędnie, mimo że musieli przebijać się przez największe w kanionie fale dochodzące do 5 m. Ostatni tego dnia, trudny Cristal nie wzbudził większych emocji, wręcz sprowokował niektórych do przechodzenia przez sam środek olbrzymiej, zawijającej się nieregularnie fali.

Dla wszystkich największym wyzwaniem był ostatni na naszej drodze *rapid* Lava Falls. Już z daleka słyszał się, że się do niego zbliżamy. Nawet otoczenie złośliwie potęgowało i tak już duże napięcie. Wkoło sterczały czarne, ponure skały wulkaniczne. Wszyscy długo wpatrywali się w kipiącą w dole masę wody. Każdy indywidualnie wazył w sobie decyzję, czy i jak płynąć. Ostatecznie na taniec z rzeką zdecydowali się Łuki, Sablik i Krzysiupek. Pontoniarze nie mieli wyboru. Ich wazących setki kilogramów pontonów nie dało by się obnieść. Wszystkich, w ogromnym napięciu, obserwowali ustawieni na asekuracji. Po kolei maleńkie sylwetki kajakarzy wypływały zza zakrętu, zbliżały się do

spadku i wpadały w kipiel. Niknęli w kakaowej wodzie, wyskakiwali czasami dużo dalej, gdzie znowu zalewały ich masy wody. Łuki, najlepszy z nas, musiał ratować się eskimoską. Sabałę kilka razy wyrzuciło, przyparło do ogromnej skały na końcu bystrza, ale tak jak pozostałych łaskawie wypuściło ze swoich objęć.

Jako pierwszy z pontonów popłynął Mike. Przeszedł bez większych problemów, mimo że dwa razy całkowicie przykryły go olbrzymie fale. Stefana największa fala groźnie obróciła, przyparła do głazu, ale bez konsekwencji. Finezja przeszedł wzorowo, Smoka trochę zniosło na bok, poszarpało na koniec i puściło. Godnie wieczorem uczciliśmy szczęśliwe pokonanie największego problemu na rzece.

Kilka dni później zegnaliśmy się z amerykańskimi przyjaciółmi w Pearce Ferry. Część z nas poleciała do Waszyngtonu odwiedzić starych bystrzaków – po legendarnej wyprawie kajakowej Canoandes zamieszkali w Stanach Zjednoczonych. Jeden z nich, Piotr Chmieliński, pierwszy zdobywca Amazonki, organizuje od ponad 20 lat spotkania polskich kajakarzy na płynącym niedaleko Potomaku. Nie mogliśmy nie skorzystać z okazji. ○

POGROMCY LAVY

Pokonanie najtrudniejszego *rapidu* Ameryki Północnej, Lava Falls, jest wyzwaniem dla najlepszych. Niezbędne jest szczęście i właściwa ocena swoich umiejętności.



Tomasz Jakubiec „Tomanek”

Kajakarz, miłośnik gór i fotografowania. Uczestnik, kierownik i organizator wielu wypraw. Absolwent AWF w Krakowie (trener pływania). W „Bystrzu” od 1988 roku, wcześniej zawodnik sekcji kajakowej BKS „Wanda”.

GEOSKOP

OBEJRZANE
PRZECZYTANE
ZASŁYSZANE



Trzecie Trampki

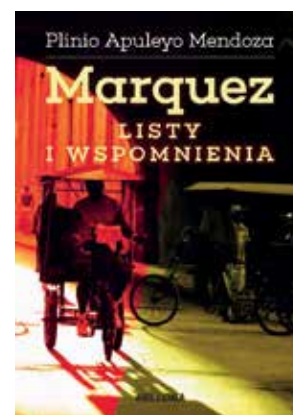
TRAMPKI – Spotkania Podróżujących Kobiet to trzecia już edycja pierwszego tego typu wydarzenia w Polsce. Poznawanie świata i samej siebie to idea, którą TRAMPKI chcą promować, przełamując schematy i prezentując świat widziany oczami podróżujących kobiet. Wstęp na wydarzenie mają nie tylko kobiety. Edycja w Gdańsku odbędzie się w dniach 27 lutego – 1 marca 2015. Podczas piątkowych i sobotnich warsztatów będzie można m.in. nauczyć się pisanie o podróżach w zajmujący sposób lub dowiedzieć się, jak wyjechać na wolontariat. W niedzielę zaś będzie można posłuchać prezentacji kobiet, które swoje pierwsze podróże mają już za sobą. W trakcie spotkań odbędą się również pokazy filmów oraz wystawa fotografii. Spotkania odbędą się w bibliotece i centrum konferencyjnym w CH Manhattan.

Więcej na:

www.trampki.travel.pl

JAKI BYŁ GABO?

Plinio Apuleyo Mendoza mawia, że jego przyjaciel Gabriel García Márquez, zmarły niedawno powieściopisarz, uwielbiany przez miliony czytelników na całym świecie, czasami uwalniał się od ciężaru swojego własnego mitu i tak po prostu ponownie stawał się zwykłym, prostoliniowym Gabo. Książka „Marquez - listy i wspomnienia” opowiada właśnie o tych momentach. To wzruszający, a czasem zaskakujący portret kolumbijskiego pisarza, od jego początków jako ambitnego dziennikarza, po wyniesienie go na ołtarze literatury, kiedy przyznano mu Literacką Nagrodę Nobla. Książka ukáže się nakładem Wydawnictwa Bellona.



POCZCIWY GÓRAL

Wojciech Brzega to najbliższy współpracownik Stanisława Witkiewicza,



wykonawca jego projektów, współtwórca stylu zakopiańskiego, rzeźbiarz, meblarz, pisarz i zakopiańczyk zachwycający się pięknem Tatr. Pozostawił po sobie nie tylko wiele arcydzieł sztuki snycerskiej, lecz także wspomnienia, ukazujące czasy, w których żył. „Żywoć górala poczciwego – spojrzenie po latach” to wyjątkowy zbiór wspomnień artysty, bogato ilustrowany podobiznami dzieł oraz archiwaliami. Ekskluzywnie wydane wspomnienia zakopiańczyka stanowią emocjonalny zapis jego życia, ukazujący lokalny koloryt Tatr, kondycję XIX- i XX-wiecznego Zakopanego oraz odsłaniają szczegóły biografii młodopolskich pisarzy, poetów, malarzy, artystów i zwykłych mieszkańców. Album wydał Tatrzański Park Narodowy.



Bałkany (Bal-Kan, czyli miód i krew) to kraina przebrzmiałych imperiów, bogactwa kultur, języków, religii, tradycji oraz niewzruszonej przyrody. Mówiąc o Bałkanach, niewiele osób myśli o Kosowie, które wciąż kojarzone jest z konfliktem zbrojnym. Tymczasem działań wojennych tam już dawno nie ma, a od 2008 Kosowo jest niepodległym państwem. Bałkany kryją jeszcze wiele tajemnic, które możecie zgłębić z Akademią Nikoną już w lipcu tego roku. Wykładowcą i przewodnikiem będzie Paweł Chara – ekspert od fotografowania odmiennych kultur.

Po więcej informacji dotyczących Fotoekspedycji Akademii Nikoną zapraszamy na www.akademianikona.pl

Miniuniwersum

Do 15 maja w oddziale etnograficznym Muzeum Narodowego w gdańskiej Oliwie można oglądać wystawę fotografii Tomasza Torbusa oraz wybór pamiątek z podróży Beaty Lejman i Tomasza Torbusa. Głównym motywem jest postać ludzka, zwykle na tle impresjonistycznie uchwyconej budowli. Ujęcia mają pokazać zmieniający się pod wpływem procesów globalizacji świat przez wieki postrzegany z perspektywy Europy jako „inny”.



Wybór przedmiotów pamiątkarskich z odległych krajów tworzy razem ze zdjęciami wspomnienie z niezwyklej podróży. Przywiezione z różnych kontynentów przez historyków sztuki, składają się na „miniuniwersum”, w którym świat, bliiski i zarazem daleki, został zamknięty w czterech ścianach polskiego domu.

SZALONE SPOTKANIA

Środa Wielkopolska ponownie przywita podróżników, eksploratorów, stopowiczów, gawędziarzy, alpinistów, wędrowców, odkrywców, grotolazów, żeglarzy, ludzi z wiatrem we włosach... II Festiwal Podróżniczy Klubu Szalonego Podróżnika to dwa dni podróżniczych slajdów i spotkań. Gośćmi specjalnymi będą Władysław Grodecki i Paweł Kilen. Festiwal odbędzie się 27 i 28 marca w Ośrodku Kultury.



Poznaj Świat został patronem medialnym Akademickich Mistrzostw Europy we wspinaczce sportowej, które odbędą się 5-9 sierpnia w Katowicach. Jak przystało na imprezę światowego formatu, mistrzostwa będą promować czołowi wspinacze, na czele z Adamem Pustelnikiem. W gronie ambasaderek znalazły się także niezmiernie utytułowane mistrzowskimi tytułami Aleksandra Rudzińska oraz siostry Klaudia i Sylwia Buczek.

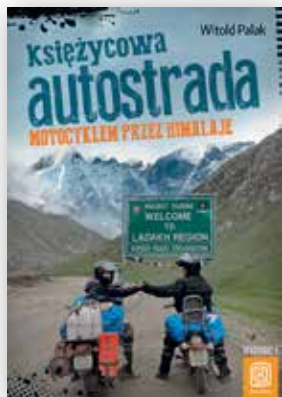
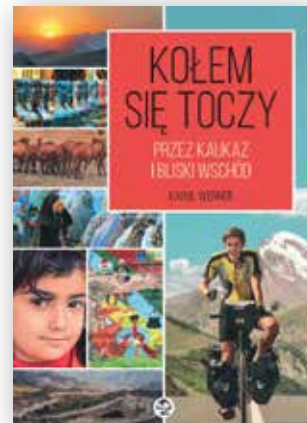
Zawody sportowe we wspinaczce rozgrywane są głównie na sztucznych ścianach wspinaczkowych. We wspinaczce na trudność liczy się wysokość (mierzona kolejno ponumerowanymi chwytami), do jakiej dociera bez odpadnięcia zawodnik w ramach przydzielonego limitu czasu. W ramach zawodów na czas liczy się czas pokonania drogi bez odpadnięcia, przy czym zawodnicy startują parami na identycznie przygotowanych równoległych drogach. www.climbing2015.pl

KOŁEM SIĘ TOCZY

Nakładem Wydawnictwa Buk Rower ukazała się książka Karola Wernera, blogera, zdobywcy głównego wyróżnienia w konkursie na Blog Roku 2013, zdobywcy tytułu Dziennikarza Obywatelskiego Roku 2013. „Kołem się toczy. Przez Kaukaz i Bliski Wschód” to opowieść o ludziach zamieszkujących kraje być może geograficznie niezbyt dalekie, lecz odległe obyczajowo. Miejsca, gdzie policja nakazuje jechać rowerem pod prąd, a przybysz znad Bałtyku jest atrakcją równą niedźwiedziowi na Krupówkach.

Karol Werner rowerem przejechał ponad 40 tysięcy kilometrów. Z perspektywy rowerowego siodła zwiedził 27 krajów. W swoich podróżach stara się być jak najbliższym mieszkańcom tych miejsc. Bliskość ułatwia mu niski budżet. Noclegów szuka u gospodarzy, którzy chętnie przyjmują go pod swój dach, zapraszają na posiłek, opowiadają swoje historie i tłumaczą panujące w ich kraju zwyczaje. I tak poznajemy właściciela sadu, który pokazuje, jak w Iranie używa się cukru; Armana, który objaśnia przeczące zdrowemu rozsądkowi zasady poruszania się rowerem po irańskich ulicach; Sevaka opowiadającego o trudach życia

w Armenii czy Kurda Basima, weterana wojny iracko-irańskiej.



Księżycowa autostrada

Znany z ubiegłorocznej edycji Kolarsów i wyróżniony za podróż motocyklem przez Himalaje Witold Palak napisał o swoich perypetiach książkę, która swoją premierę będzie miała właśnie na Kolosach. Ojciec i syn, obaj tuż po świeżo zdanym egzaminie na prawo jazdy na jednośląd, na dwóch legendarnych motocyklach Royal Enfield zakupionych w Delhi, wybierają się w podróż u podnóża Himalajów, od Kaszmiru

aż po Sikkim. Witold Palak w książce „Księżycowa autostrada. Motocyklem przez Himalaje” z dużą dawką humoru i dystansem do siebie pokazuje, że nawet najbardziej nieprawdopodobne pomysły są warte realizacji, a poznawanie świata z siedzenia nie pierwszej już młodości enfielda daje nie tylko dużo frajdy, ale jest też wyjątkową lekcją życia. Publikacja ukazała się nakładem Wydawnictwa Bezdroża.

CHIŃSKI ZWÓJ

Nakładem Wydawnictwa Czarne ukazała się książka „Za murem” Colina Thubrona. Niczym klasyczny chiński zwój książka podąża krętą, malowniczą drogą przez krajobraz Chin. Wędrując przez żywiołowe metropolie i tereny rolnicze, małe miasteczka i wsie, autor maluje obrazy, które na długo zapadają w pamięć.

Kiedy w latach osiemdziesiątych Chiny dotąd niemal niedostępne dla zagranicznych turystów zmieniły politykę i otwały granice przed obcokrajowcami, bogactwo nieznanymi zakątków w trzecim co do wielkości kraju

świata przyprawiało podróżników o zawroty głowy. Autor książki, opanowawszy podstawy mandaryńskiego, postanowił wyruszyć samotnie w liczącą 15 tys. km podróż. Unikając utartych szlaków i odwiedzając mniej popularne, choć nie mniej ciekawe miejsca, odkrywa zaskakującą różnorodność krajobrazów i fascynujące losy mieszkańców kraju, który z trudem podnosi się z traumy rewolucji kulturalnej.

Colin Thubron jest jednym z najbardziej utytułowanych brytyjskich pisarzy podróżników, napisał kilkanaście książek o podróżach na Bliski Wschód, do Azji Środkowej i Wschodniej oraz Rosji. Po polsku ukazały się dotąd jego książki: „Cień Jedwabnego Szlaku”,

„Po Syberii”, która znalazła się w finale Nagrody im. R. Kapuścińskiego za Reportaż Literacki 2011, „Utracone serce Azji” i „Góra w Tybecie”.



KOŁOSALNA IMPREZA

Jak zwykle w drugi pełny weekend marca (w tym roku w dniach 13-15.03) odbędą się Ogólnopolskie Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów, podczas których nastąpi przegląd wszystkiego, co wartościowe w polskich podróżach w 2014 roku. Tym razem do dyspozycji będzie nie tylko hala Gdynia Arena z salą na 4 tys. widzów i salą seminaryjną, ale również dwie sale, 330- i 90-osobowa, w Pomorskim Parku Naukowo-Technologicznym. W programie imprezy znajdą się: prezentacja kilkudziesięciu najważniejszych przedsięwzięć podróżniczych i eksploracyjnych ubiegłego roku, salon mediów podróżniczych (wśród nich miesięcznik *Poznaj Świat*), salon sprzętu outdoorowego oraz wystawy zdjęć. Na zakończenie nastąpi retrospektywa



poświęcona historii polskiego polarnictwa, zaś w niedzielę wręczenie – już po raz szesnasty – najbardziej prestiżowych polskich nagród podróżniczych.



Nakładem Wydawnictwa Pascal ukazała się zupełnie nowa seria przewodników dla szybkich obywateli. „360 stopni” oprowadza po najciekawszych metropoliach i regionach świata. Treści zostały opracowane przez osoby, które przez wiele lat mieszkały w opisywanym miejscu i poznały je od podszewki. Od innych przewodników serię odróżnia niesztafopowe podejście i podanie obowiązkowych atrakcji w nowy, świeży sposób.

Seria Pascal 360° została opatrzona wyróżniającymi się zdjęciami i przejrzystymi mapami z naniesionymi miniilustracjami znanych atrakcji. Treść w przewodnikach tej serii została tak ułożona, by miasto zaprezentować od świtu do zmierzchu. Przyjazny układ graficzny pozwala łatwiej odnaleźć interesującą informację. Dla weekendowych turystów to gotowy pomysł, jak zwiedzić interesujące miejsca z podziałem na pory dnia i dokąd się udać na imprezy, których nie wolno przegapić.

ODKRYJ ŚWIAT Z POZNAJ ŚWIAT

Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 5 z Krosna będzie 18 marca gościł młodzież z Podkarpacia na dorocznym międzyszkolnym konkursie geograficznym z cyklu „Odkryj świat z Poznaj Światem”. Tematy do tegorocznej edycji zostały ułożone na podstawie artykułów z naszego magazynu opisujących Azję jako kontynent kontrastów. Głównym celem konkursu jest popularyzacja wiedzy geograficznej wśród uczniów i ukazanie ciekawych informacji na temat miejsc, które rzadko opisywane są na lekcjach geografii. Miesięcznik *Poznaj Świat* sprawuje honorowy patronat nad tym konkursem. Organizatorami konkursu są nauczyciele geografii: Dorota Mróz i Artur Delimat.



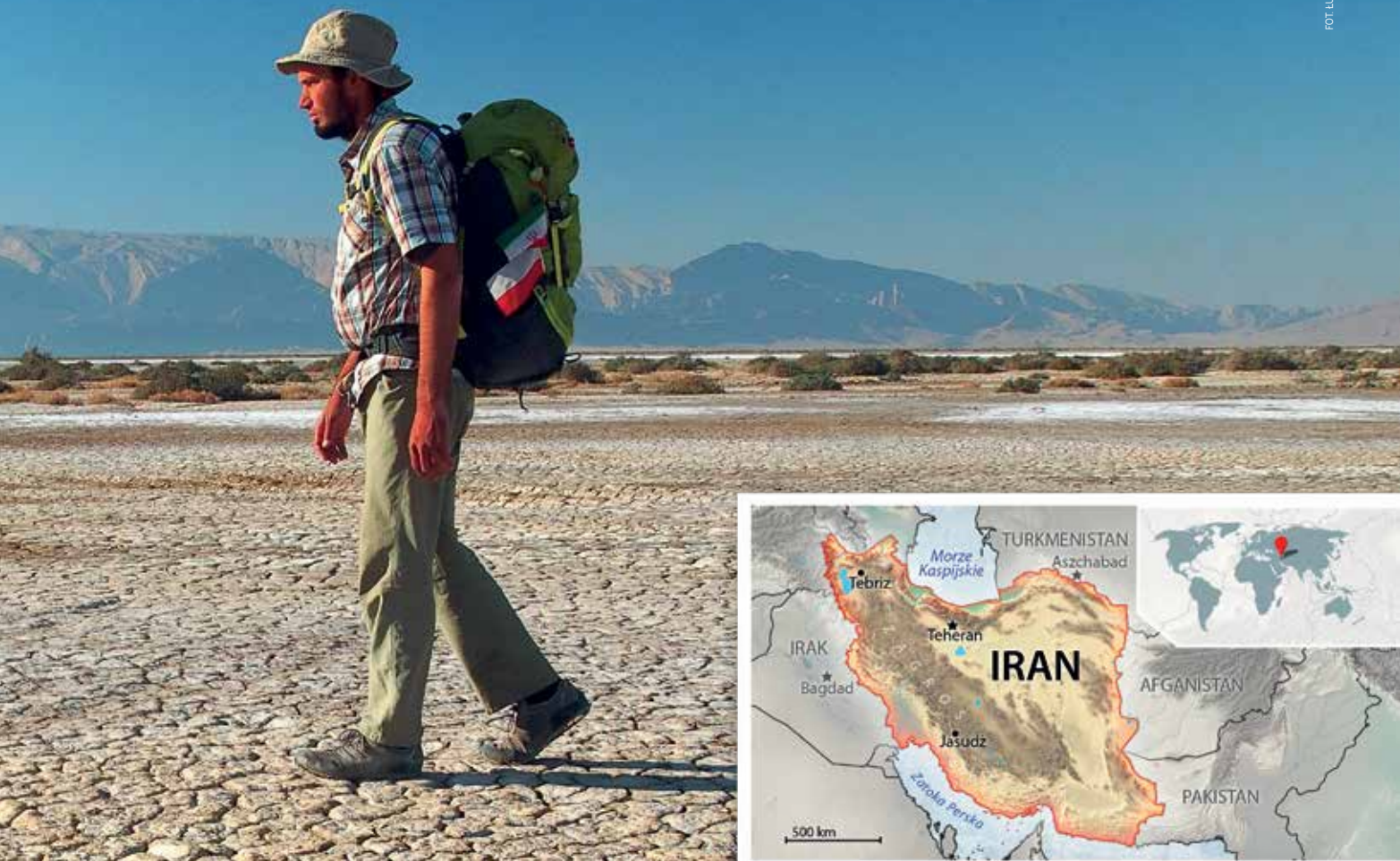
Łukasz Supergan

W POSZUKIWANIU OSTATNICH NOMADÓW

Aby poznać kraj, trzeba przejść go pieszo. Z tego założenia wyszedłem, udając się do Iranu. Plan był zwodniczo prosty: przejść na własnych nogach ponad 2300 kilometrów przez pustynne góry Zagros, po drodze szukając ludzi, dla których ten nieprzyjazny region, na przekór wszystkiemu, jest miejscem życia.

Zagros to potężny łańcuch górski ciągnący się przez cały zachodni Iran, od granicy z Turcją po Ocean Indyjski. Od europejskich Alp po pakistańskie Karakorum na przestrzeni tysięcy kilometrów nie ma większego wypiętrzenia skorupy ziemskiej. Przez stulecia góry te były historyczną barierą, dzielącą Persję i Mezopotamię. To tu mają swoje źródła rzeki zasilające w wodę żyzne doliny obecnego Iraku.

Znaczna część Zagrosu na zdjęciach satelitarnych wygląda jednak na ziemię jałową. To setki kilometrów pustkowi. Kamienista gleba utrzymuje jedynie najbardziej wytrzymałe gatunki nielicznych roślin i zwierząt. A jednak to surowe miejsce jest domem dla wielu ludzi. Kim są i jak potrafią przetrwać w tych warunkach? Postanowiłem znaleźć odpowiedź na to pytanie. Moim zamiarem było spięcie podczas pieszej wędrówki dwóch przeciwległych krań-



ców Zagrosu. Od północnych wyżyn, sąsiadujących z Turcją i Armenią, po wybrzeże Oceanu Indyjskiego. Planowałem iść z niewielkim bagażem, zdany na siłę własnych nóg.

POGAWĘDKA Z AZERAMI

– *Odkuda ty?* – *Iz Polski.* – Tak może wyglądać początek rozmowy w hotelu w Tabriz, stolicy irańskiego Azerbejdżanu. Leżącą na północy kraju prowincję zamieszkują nie Persowie, ale Azerowie. Od setek lat te narody żyją jednak wspólnie, będąc jednym z wielu elementów etnicznej układanki w tym kraju. Mężczyzna, którego spotkałem pierwszego wieczoru, przyjechał tu do rodziny z terenu dawnego Związku Radzieckiego, stąd bez problemu porozumiewaliśmy się po rosyjsku.

Na ulicach słyszy się mowę azerską i turecką. Perski, oficjalny język Iranu, jest rzadki. Dobrze pokazuje to, jak różnorodny jest to kraj: dla połowy jego mieszkańców lokalne języki – kurdyjski, bachtiański, luri, beludzi, turecki, arabski – są tymi, których używają na co dzień.

Tabriz to początek mojej drogi. 2 października, nad ranem, stoję przed Błękitnym Meczetem, w historycznym centrum miasta. Odwracam się i ruszam na południe. Od tej chwili zamierzam przemieszczać się wyłącznie pieszo. Już pierwsze godziny po opuszczeniu miasta pokazują, z jak nieprzyjawnym środowiskiem przyjdzie mi się mierzyć. Gdy kończą się zabudowania, wyrastają przede mną wyschnięte wzgórza o barwie piasku. W promieniu wielu kilometrów ani śladu człowieka. Ziemia jest

NIE MA WODY NA PUSTYNI
Wypalona słońcem i pokryta stonym pyłem dolina Ab-e Shur w południowym Iranie. Gdy po kilku godzinach wędrówki przez nią udało się znaleźć wodę, była zasolona i niezdatna do picia.





sucha jak pieprz, w 30-stopniowym upale cały zapas wody wsiąka we mnie jak w gąbkę. Spragniony rozglądam się po okolicy, ale wśród pustych dolin brak choćby odrobiny zieleni, wskazującej na obecność wilgoci. „Gdy chodzi o przetrwanie na pustyni, brak życia mówi więcej niż jego obfitość” – dźwięczą mi w głowie słowa z „Diuny” Franka Herberta. Gdy po całym dniu wędrówki docieram do pierwszej wsi, siadam wyczerpany



przed meczetem i długo piję. Irańskie świątynie nie raz będą mnie ratować. Jak każda tradycja, przy prawie każdej znajduje się miejsce do rytualnej ablucji.

A jednak Zagros tylko na pierwszy rzut oka wydaje się kompletną pustynią. Czasem godzinami idę przez jałowe okolice, by niespodziewanie otworzyła się przede mną tętniąca życiem zielona dolina. Wypływająca spomiędzy skał woda zamienia kamienistą glebę w sady i pola. Wzdłuż strumieni ciągną się zabudowania, między domami rosną daktylowce, na łagodnych, południowych zboczach uprawia się winorośl. Wielopokoleniowe rodziny żyją w skromnych, schludnych domach, budowanych z suszonych na słońcu cegieł. Pokryte glinianym tynkiem wtapiają się w krajobraz. Mieszkańcy nie spodziewają się wędrowca, ale kilka słów wystarczy, by przyjęli mnie pod swój dach i opowiedzieli o sobie nad szklankami czarnej, słodkiej herbaty, którą częstuje się tu każdego i zawsze.

PÓLNOĆ-POŁUDNIE

Bachtiarski pasterz doglądający zwierząt w trakcie corocznej jesiennej migracji z gór na południe kraju.

Na zdjęciu obok: typowy krajobraz północno-zachodniego Iranu.

W GOŚCINIE U KURDÓW

– *Przyjdź do nas do domu* – mówi Roksza, którą poznałem na drodze zaledwie trzy minuty temu. Patrzę z niedowierzaniem w duże, ciemne oczy

kurdyjskiej dziewczyny. W Iranie zaproszenie przez kobietę samotnego mężczyzny pod swój dach może dziwić i przez chwilę jestem bardziej zaskoczony niż ona, gdy mnie zobaczyła. – *Nie chcę Wam robić kłopotu...* – mówię, na co ona kręci zdecydowanie głową.

Przez cztery dni szedłem sam przez pustynne góry. Moją jedyną nawigacją był kompas i sowieckie mapy wojskowe sprzed lat. Rzeźba terenu szybko przestała zgadzać się z tym, co widziałem na arkuszu, napotkani ludzie nie potrafili powiedzieć, jak nazywa się

mijam – budowane z gliny, otoczone murkami z nieobrobionego kamienia – i wiem, że tu i teraz ich mieszkańcy są dużo bogatsi ode mnie. Mają niewiele, ale dokładnie to, co potrzebne: jedzenie, dach nad głową i miejsce do odpoczynku, których mi brakuje. Dziesiątkom ludzi takich jak Rokszan, jej siostry i rodzice zawdzięczam posiłek, ciepło i niezakłócony sen. Dla nich przybycie obcego jest z kolei oknem na świat – podczas kolacji padają pytania o moją rodzinę i życie w Polsce. Na takie spotkania schodzi się często dalsza rodzina i sąsiedzi.



FOT. LUKASZ SUPRGAŃ

TRANSGRANICZNY WYPAS Kurdyjscy pasterze wypasający owce na granicy z Irakiem.

miejsce, w którym byliśmy. Pokonując dzień nie mniej niż 20 kilometrów w linii prostej, wspinałem się na wzgórza i kluczyłem między dolinami, by ostatecznie wyjść na szosę o dwa dni marszu na zachód od planowanego celu.

Góry zmuszają do pokory i zastanowienia nad sobą. Gdy po kilku dniach samotności głodny i zmęczony wędruję przez wieś, na darmo wyglądam sklepu. Przychodzi mi wtedy do głowy, jak śmieszne jest moje położenie. Niosę ze sobą lekkie ubrania, śpiwór, aparat i zwitek pieniędzy, wszystko to, co w polskich górach uznałbym za niezbędne. Tu jednak nie ma to znaczenia, skoro nie kupię jedzenia. Patrząc na domy, które

MIGRACJA BACHTIARÓW

Po miesiącu wędrowki docieram w centralny Zagros. Jest już listopad, trzy- i czterotysięczne szczyty wznoszą się ku niebu postrzępionymi graniem, które pokrywa śnieg. Noce stają się zimne. Za dnia wędruję długimi na dziesiątki kilometrów dolinami, po zmroku opatulam się we wszystko, co mam. Masyw, przez który idę, to Kuh-Dena, najwyższy punkt na mapie mojej wędrowki. Tylko w tym jednym paśmie istnieje około 40 szczytów wyższych niż 4000 metrów n.p.m. To również miejsce zamieszkiwane przez irańskich nomadów.



FOT. LUKASZ SUPERGAN

Środkowy Zagros jest ojczyzną Bachtiarów, pasterskiego narodu, zamieszkującego trudno dostępne i odizolowane masywy. Odległe o dziesiątki kilometrów od miast i głównych dróg, te góry są domem dla ludzi prowadzących koczowniczy tryb życia. Sezon letni bachtiańskie rodziny spędzają w wysoko położonych dolinach, opiekując się stadami liczącymi setki owiec i kóz. Mieszkają w namiotach, rozbitych zazwyczaj w pobliżu wody. Każdego dnia mężczyźni i starsi chłopcy wyganiają zwierzęta, którym udaje się odnajdywać pożywienie nawet tu, na tej mało żyznej ziemi.

Docieram do końca długiej doliny. Wieczór jest chłodny i zastanawiam się, czy uda mi się przejść na drugą stronę łańcucha górskiego, który wyrasta przede mną. Nagle zza zakrętu wyłania się młody mężczyzna prowadzący dziesiątki owiec. Łapię za aparat i biegnę za nim, gdy widzę pozostałych członków rodziny. Wszyscy skupiają się wokół stada i zaczynają ładować zwierzęta na ciężarówki. Mam szczęście, trafiłem na doroczną migrację Bachtiarów, którzy wraz z nadejściem mrozów wyruszają kilkaset kilometrów na południe, w pobliże Zatoki Perskiej, aby przeczekać zimę w ciepłej okolicy. Dawniej wędrowaliby pieszo lub na wielbłądach, wiodąc swoje stada za sobą, a dobytek wioząc w jukach, na grzbietach

zwierząt. Dziś malownicze karawany zostały zastąpione samochodami dostawczymi i ciężarówkami, które skróciły tę drogę do 1-2 dni.

Obok ciężarówek leży już góra bagażu, namioty, koce, ubrania, naczynia – wszystko, co potrzebne pasterskiej rodzinie do przeżycia. Przy bagażach czekają kobiety. Ich codzienna praca to opieka nad domem i tak jest też podczas migracji. Gdy ich mężowie i bracia zganijają z gór zwierzęta, one pakują cały dobytek. Choć tradycja jest wciąż żywa, coraz mniej Bachtiarów podejmuje doroczne wędrówki, wybierając osiadłe życie. Coraz rzadziej widuje się irańskich nomadów w ich drodze.

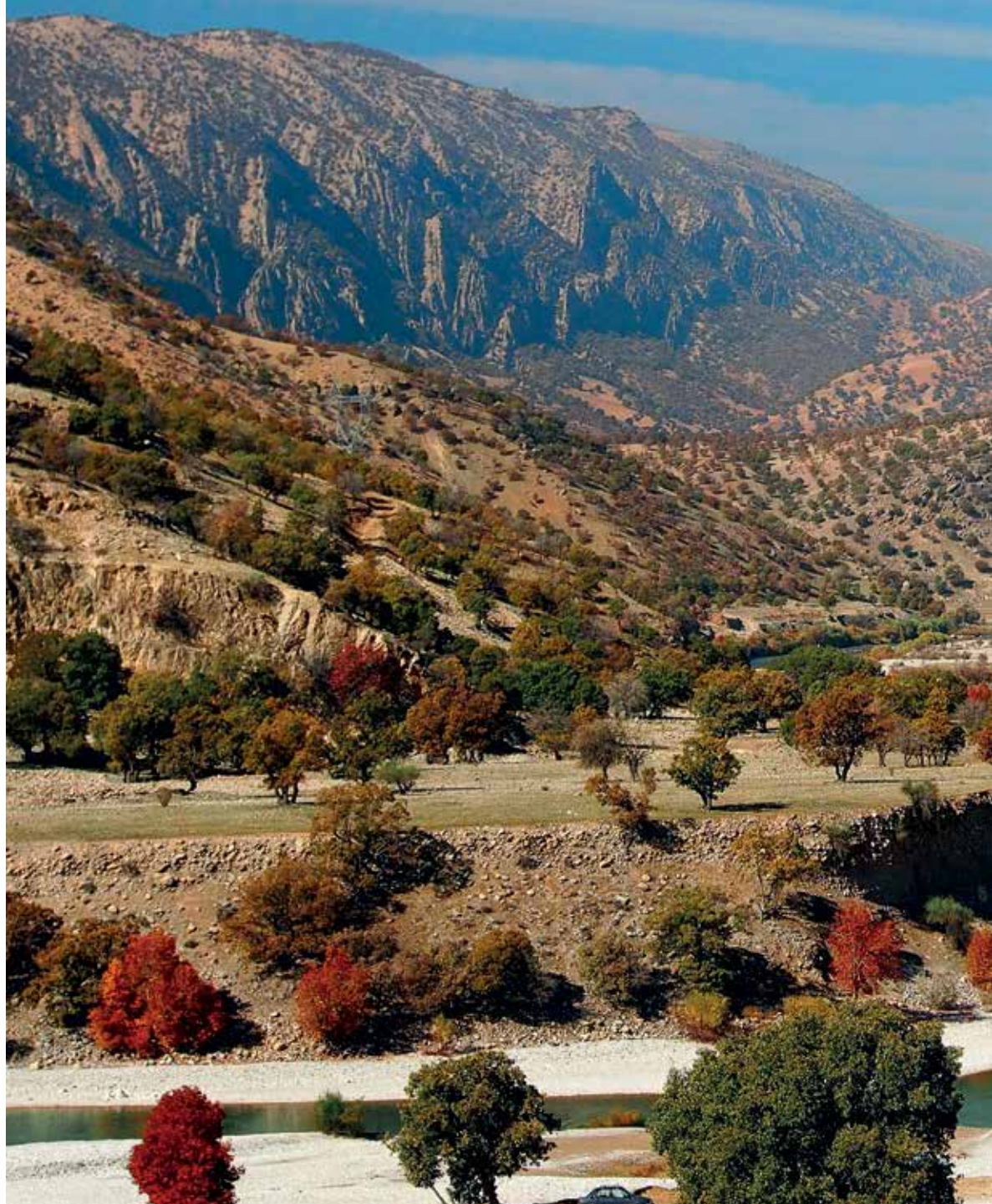
NIE TAK BLISKI WSCHÓD

– *My, Lurowie, jesteśmy w prostej linii potomkami Ariów* – nie bez dumy powiedział Hosein. Nie mam zamiaru tłumaczyć mu, że niemal wszyscy Irańczycy są potomkami starożytnego ludu, jaki przywędrował tu z Azji Centralnej. Na wieść o cudzoziemcu, który zatrzymał się na noc w domu pod przełęczą Baba Hasan, pod jednym dachem zjawili się ośmiu nieoczekiwanych gości. Hosein, miejscowy geodeta, jest jednym z nich i niezłe mówi po angielsku.

Iran, postrzegany często przez pryzmat międzynarodowej polityki, wydaje się kra-

HADEL NA WYSOKIM POZIOMIE

Góry Zagros to oprócz olbrzymich przestrzeni także miasta pełne pamiątek perskiej kultury. Na zdjęciu 700-letni bazar w Tabriz, w północnym Iranie.



TAK WPŁYWA RZEKA

Tam gdzie jest woda, pojawia się też życie. Dolina rzeki Beszar, wypływającej z najwyższych pasm Zagrosu w południowej prowincji Iranu Kohgiluyeh-o Buyer Ahmand.

jem zamkniętym, niemal wrogim Zachodowi. Zaskakujące, jak często przekonywałem się o fałszywości tego poglądu. Wielu młodych Irańczyków uczy się angielskiego, ciekawi są tego, co dzieje się poza ich krajem. Telewizja satelitarna, choć potępiana przez władze, jest wszechobecna. Ludzie, których spotykam, śledzą na bieżąco wydarzenia na świecie. Ze wstydem stwierdzam, że o irańskiej rzeczywistości wiem dużo mniej niż oni o europejskiej.

Dzień po spotkaniu z Hoseinem, na górskiej drodze koło miasta Jasudż, mijam miejscowego nauczyciela. Nadżid, widząc mnie na poboczu, zaprasza do szkoły i oprowadza po budynku. Zaglądam do jednej z klas, gdzie uczennice szykują się do egzaminu dojrzałości, studiując klasycznych pisarzy perskich i... angielskich. Tak, choć oba kraje zerwały stosunki dyplomatyczne kilka lat temu, uczniom tutejszych szkół nie są obce dzieła Szekspira. I znów to poczucie asymetrii, i myśl, jak nie-



FOT. LUKASZ SUPERGAN

wiele wiemy o tym kraju, który leży przecież parę godzin lotu z Europy.

15 grudnia, 76 dni po opuszczeniu Tabrizu, wylania się przede mną pas ostrych, poszarpanych skał. Droga omija je szerokim łukiem, by po drugiej stronie wejść pomiędzy zabudowania dużego miasta. Niecierpliwie idę między domami, mijam kolejne ulice i o zachodzie słońca dostrzegam przed sobą pas wody. Chwilę później staję nad brzegiem, patrząc na Ocean Indyjski.

Nie ma we mnie euforii. Choć przeszedłem jedną z najtrudniejszych dróg życia, czuję tylko ulgę, że się udało. Siadając na brzegu, wracam myślą do tych, których spotkałem w tej drodze. Jadąc do Iranu, wyobrażałem sobie wędrowkę przez pustkowia. Niespodziewanie pustkowia te okazały się pełne ludzi. A spotkania i rozmowy z nimi pokazały mi nieznaną wcześniej kraj: różnorodny i niejednoznaczny, gdzie przed gościem otwierają się tysiące drzwi, a przybycie obcego traktowane jest jak święto. ◯



Łukasz Supergan

Podróżuje, by poznać świat. Chodzi po górach, gdy szuka samotności. Specjalista od wędrowek długodystansowych. Przez ostatnie 2 lata przeszedł 10 tysięcy km pieszo – i nie zamierza przestać.



FOT. MARTA NATALIA WRÓBLEWSKA

Spacer od Koloseum do Panteonu. Tu każdy nowy widok wydaje się bardziej kadrem z filmu niż rzeczywistością. I kiedy już mogłoby się zdawać, że to właśnie tutaj *stile di vita italiano* osiąga swoje apogeum, mnie świta myśl: „czy to w ogóle jeszcze są Włochy?”

Im słynniejsze i bardziej „ikoniczne” miejsce, tym większe ryzyko rozczarowania przy jego zwiedzaniu. Oto przyjeżdżamy w dobrej wierze, z wszystkimi pocztówkowymi obrazkami w głowie, gotowi na chłonięcie kultury, na przygodę, na romantyzm, na *gelati*. A tymczasem nie przydarza nam się nic, co choć trochę przypominałoby fabułę filmu „Rzymskie wakacje”, a niechby nawet „Zakochanych w Rzymie”. Fontanna di Trevi jest otoczona barierką i pilnie strzeżona – nici więc z odegrania słynnej sceny kąpieli z filmu „La Dolce Vita”. Zamiast płasnąć w otoczeniu rzymskiej śmietanki towarzyskiej, jak bohater „Wielkiego piękna”,

karnie płyniemy z mało stylowym turystycznym potokiem. A lody, po które czekaliśmy w kilometrowym ogonku... cóż, stwierdzenie, że były lepsze niż te w kiosku za rogiem, jest nieco ryzykowne, biorąc pod uwagę, że czeka nas jeszcze wizyta przy „ustach prawdy” (jeśli wytrwamy w kolejnej kolejce).

W centrum Rzymu oczywiście można natknąć się na miejsca, gdzie włoską kulturę chłonie się razem z chłodnym *vino di casa* i domowymi spaghetti. Choćby Sora Margherita – restauracja, gdzie menu nabazgrano mazakiem na kartonie, a przed wejściem trzeba wpisać się do pożółkłego zeszytu, bo lokal, oficjalnie zamknięty przez sanepid,

działa jako prywatny klub. Żeby jednak móc zająć się tam karczochem po żydowsku, trzeba wpierrw ominąć kilka restauracji strzeżonych przez gladiatorów, dwa McDonald’sy i tuzin stoisk z plastikową chińszczyzną.

Gdzie są w takim razie Włochy, z których nie trzeba zdrapywać poślotka dla turystów ani lizać przez szybkę? Gdzie kryją się widoki niezamienione jeszcze w filmowe klisze i czekające, aż odkryjemy je my, właśnie my? Przede mną ta Italia otworzyła się jednego popołudnia, gdy udałam się kilkadziesiąt kilometrów na wschód od Rzymu, do San Gregorio da Sassola.

– *Pokażę ci il mio paese* – zapowiedział Simone z dumą. Włoski wyraz *paese* może oznaczać tak miasteczko, jak i państwo. I rzeczywiście: mój przyjaciel uznawał liczącą tysiąc pięćset dusz osadę za swoją ojczyznę na równi z samą Italią. O San Gregorio nie wspomina żaden przewodnik, mimo iż miasteczko, jak niebawem miałam się przekonać, może pochwalić się dwoma monumentalnymi rzymskimi akweduktami,

bajkowym średniowiecznym zamkiem, starówką oraz dzielnicą zaprojektowaną jako miasto idealne. Gdyby San Gregorio znajdowało się na innej szerokości geograficznej, stanowiłoby ogromną turystyczną atrakcję. Ale leży w sercu Italii, a nie sposób przecież konkurować z Wiecznym Miastem.

W stolicy Włoch zgiełk i ciżba, a na trasie krajobrazowej prowadzącej do akweduktu w San Gregorio prędzej można spotkać jeżozwierza niż turystę. Dróżka zarosła wysoką trawą i zieliskiem, przedzieramy się z pomocą kija. W pewnym momencie Simone rozgarnia chaszcze. Zawrót głowy. Nasza ścieżka dosłownie wisi w powietrzu, z obu stron otwiera się przepaść. Droga niepostrzeżenie wspięła się w górę, na akwedukt, my zaś idziemy rynną, którą dwa tysiące lat temu Rzymianie pchnęli wodę. I kiedy tak badamy układ cegieł, przesuwając palcami po murze, na chwilę nachodzi nas uczucie, które musiało towarzyszyć Schliemannowi, odkrywcy Troi – oto przed naszymi oczami otwiera się widok, którego przez ostatnie tysiąclecia poza nami nikt (prawie) nie oglądał.

Strudzonym odkrywcem mama Simone upiekła pizza *sfogliata* – miejscową specjalność San Gregorio. – *Jest trochę zakłopotana* – śmieje się mój przyjaciel – *przed tobą w tym domu nie było ani jednego cudzoziemca*. – Wieść o moim przybyciu szybko obiegła całe miasteczko. – *Przyjechała jakaś obca, straniera*. – Mężczyźni w barze, a kobiety w kościele przekazują sobie wieść w lokalnym dialekcie. Rodzice Simone zwracają się do mnie po włosku, ale między sobą mówią już w *dialetto*. Jego babcia w ogóle nie mówi po włosku.

Do San Gregorio nie zaglądną turyści, a młodzi ludzie wyjechali za pracą do Rzymu. Wieczorem, kiedy na opuszczone domy, wyludnione ulice i górujący nad nimi zamek opada mgła, można odnieść wrażenie, że spaceruje się po mieście duchów. Na ciemnym placu plama żółtego światła. Bar, jak zawsze, pełni rolę miejscowego centrum życia towarzyskiego. Postawny barista nale-

R E K L A M A

wa nam po trzy krople aromatycznego espresso. – *Kiedy byłem mały, taką kawę zanosilem do domu Tarkowskiemu. To taki rosyjski reżyser. Miał dom przy głównej ulicy miasteczka*.

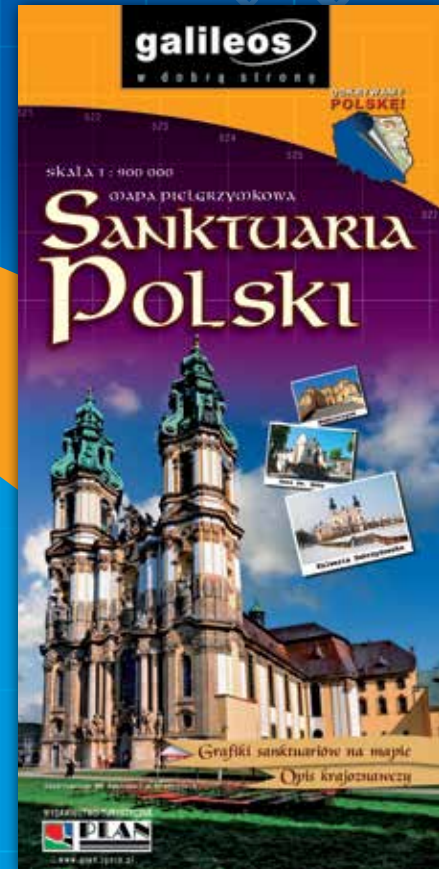
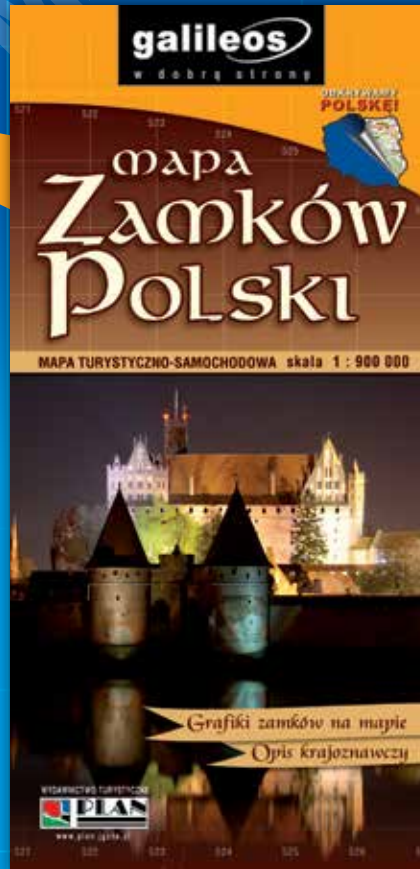
Nie zdążę już zobaczyć domu Tarkowskiego, nie odwiedzę czterech kościołów, dwóch cudownych obrazów (po jednym dla starej i nowej części miasta), nie odczytam zapisanych w murach masonskich sekretów. Dzień, który poświęciłam na zwiedzenie tego skrawka Włoch, minął. Mama Simone wzdycha: – *Też chciałabym pojechać do Rzymu. Zobaczyć w końcu Fontannę di Trevi...*

I tak oto post-turystka cieszyła się, że udało jej się wyrwać z komercyjnej

go trójkąta bermudzkiego Koloseum – Trastevere – Campo de' Fiori, a nie-turystka marzyła, by się tam znaleźć. I wówczas przyszło mi do głowy, że to nie zabytki i dzieła sztuki są niewinne lub skażone, lecz nasze spojrzenie na nie. Wróciłam więc do Wiecznego Miasta, by przyjrzeć mu się tak, jakby było nietknięte. Jak spojrzeliby Schliemann i mama Simone. ○

Marta Natalia Wróblewska

Chłonie świat na równi przez podróże i literaturę. Tłumaczy książki z włoskiego i francuskiego. Orowadza polskich turystów po Włoszech, a włoskich po Warszawie.



WYDAWNICTWO TURYSTYCZNE

58-500 Jelenia Góra, ul. Słowackiego 14, tel. 75 75 260 77
e-mail: plan@plan.jgora.pl • www.plan.jgora.pl



FOT. JACEK SZYMANEK





Karol Janas

PO WODACH ZIEMI OGNISTEJ



Wąskie kanały i fiordy, ośnieżone górskie szczyty, lodowce wpadające do wody i przyroda nietknięta ludzką ręką. To Ziemia Ognista, archipelag na samym końcu cywilizowanego świata. Dalej na południe są już tylko lody Antarktydy i groźne wody Oceanu Południowego. Jedynym środkiem transportu pozwalającym na dobre poznanie tych rejonów jest jacht żaglowy.

Stolica Ziemi Ognistej, sześćdziesięciotysięczna Ushuaia, reklamuje się jako położone najdalej na południe miasto świata. Założona przez Argentyńczyków pod koniec XIX w. osada służyła początkowo jako kolonia karna. Odległa lokalizacja uniemożliwiała więzniom ucieczkę. W kolejnych latach do miasteczka ściągali awanturnicy skuszeni plotkami o znalezieniu olbrzymich ilości złota. Obecnie Ushuaia przyciąga przede wszystkim turystów,

także jako baza wypadowa do dalszych wycieczek. Można tu wykupić krótki lot awionetką, udział w wyprawie po dzikich górach Ziemi Ognistej, a także rejs statkiem wycieczkowym na Antarktydę.

Ushuaia to także mekka żeglarzy. Jachty stają na bojkach rozrzuconych we wnętrzu zatoki albo, tak jak my, cumują w jachtklubie Afasyn, przy ledwo trzymającym się kupy drewnianym pomoście.

ŻEGLARSKI EVEREST

Po wypełnieniu niezbędnych formalności umożliwiających opuszczenie Argentyny oddaliśmy cumy i pożeglowaliśmy na wschód. Płynęliśmy wąskim kanałem Beagle, który nazwę odziedziczył po statku, na którym Karol Darwin odwiedził Ziemię Ognistą w 1833 roku. Po obu stronach piętrzyły się wysokie, pokryte śniegiem góry – na północy argentyńska część Ziemi Ognistej, a na południu chilijska wyspa Navarino. Po pięciu godzinach wygodnej żeglugi, przy przeważającym w tym rejonie zachodnim wietrze, wpłynęliśmy do chilijskiego Puerto Williams. Prognoza pogody zapowiadała słabe wiatry przez kolejne dwa dni i nadchodzący później solidny sztorm. Dlatego zdecydowaliśmy się na jak najszybsze wypłynięcie z portu i próbę okrążenia przylądka Horn.

Przed otwarciem Kanału Panamskiego wszystkie statki płynące z Atlantyku na Pacyfik zmuszone były okrążyć Amerykę Południową i przejść przez niebezpieczne wody wokół Hornu. Były to czasy bez nawigacji satelitarnej i bez dokładnych prognoz pogody. Marynarze pokonywali tę trasę przez okrągły rok, bez względu na warunki. I mimo że są na świecie akweny bardziej niebezpieczne, to pewnie nie ma miejsca, które pochłonęłoby tak wiele ofiar. Dlatego właśnie ta okolica jest okryta złą sławą, a sam przylądek nazywany „nieprzejdanym”. Opłynięcie Hornu w świecie żeglarskim jest warte tyle samo, co wejście na Mount Everest w świecie wspinaczy. Tym, którzy tego dokonają, należy się żeglarska chwała, a ponadto według starej tradycji od tego momentu będą mieli prawo gwizdać na statku oraz sikać pod wiatr!

Gdy zbliżyliśmy się do przylądka, wiatr wzmagął się, aż w końcu ustabilizował na 6–7 w skali Beauforta. Oby tylko tak zostało, tu-



FOT. MALGORZATA CZULIKO

taj pogoda może zmienić się w mgnieniu oka. Horn ukazał się w całej okazałości. Poszarpane szczyty tonęły w słońcu. Długa, oceaniczna fala w Cieśninie Drake'a nie była wyższa niż 2-3 metry. Popłynęliśmy ostro pod wiatr 5 mil na południowy zachód, potem zwrot i z powrotem pod wyspę w kierunku na północny zachód. Zrobiliśmy kolejne dwa zwroty i chwilę później już mogliśmy bezpiecznie ominąć wyspę od zachodu. Żeglarski ośmiotyśięcznik zdobyty!

Na wyspie Hornos jest latarnia, którą można odwiedzić. Latarnik jest żołnierzem w służbie Armady Chilijskiej, mieszka tu z żoną i dziesięcioletnim synem. Odpowiedzialny jest nie tylko za obsługę latarni, ale również kontrolę nad jednostkami pływającymi wokół Hornu. Służba trwa okrągły rok. Kilkaśmetrów od latarni stoi pomnik przedstawiający albatrosa. Jest poświęcony wszystkim, którzy stracili życie na Hornie, a zbudowano go z kadłubów wraków rozbitych na przylądku.

PRZERWA NA FLAUTĘ

W wiecznie wietrznej Ziemi Ognistej prawie nigdy nie ma spokoju. Brakuje tutaj infrastruktury transportowej oraz turystycznej, a najlepszym sposobem przemieszczania się jest jacht.



FOT. KAROL JANAS

ZIMNA PALETA

Lodowce przyjmują dziesiątki różnych kolorów, od ciemnych odcieni niebieskiego, przez błękity, biel, na brudnych szarościach kończąc.

Kolejnego dnia dokładniej rozejrzeliśmy się po Puerto Williams. Klub żeglarski urządzono w wyciągniętym na płyciznę wraku chilijskiego okrętu Micalvi. Statek stabilnie spoczywa na dnie, a odwiedzające zatoczkę Lauta jachty (o znacznie mniejszym zanurzeniu) mogą cumować do jego burt. We wnętrzu znajduje się biuro klubu i tawerna.

GAUCZO Z ZATOKI FERRARI

Prując na silniku pod mocny zachodni wiatr, wpłynęliśmy do kanału Yendegai i zatrzymaliśmy się w położonej w jego głębi zatoczce Ferrari. Nad brzegiem stało kilka prostych budynków, gdzieś dalej pasło się stado koni. Tu mieszka Jose, jeden z ostatnich gauczo, czyli argentyńskich kowbojów żyjących na Ziemi Ognistej, Patagonii i pampasach.

Popłynęliśmy pontonem na ląd, aby przywitać się z gospodarzem. Z domu wyszedł niewysoki Latynos o ciemnej karnacji, szczeniastym zarostcie i długich włosach spiętych w kucyk. Gdy zapytaliśmy o miejsce, gdzie możemy zakotwiczyć, sięgnął po leżącą na pieńku ostrogę i na deskach werandy niespiesznie wyrył układ zatoki i kontur jachtu.

Wieczorem popłynęliśmy na ląd po raz drugi. Po krótkiej chwili siedzieliśmy w przytulnej kuchni,

KONNI ŻEGLARZE

Tradycyjnym zajęciem gauczo był całoroczny wypas bydła. Głównym zajęciem Jose w porze letniej jest organizowanie konnych wycieczek dla żeglarzy.



FOT. Z ARCHIWUM MARGARZATY CIOJNO

LODY OGNISTEJ ZIEMI

Duże, małe, białe, niebieskie, położone w przełęczy czy wpadające do fiordu. Płynąc kanałem Beagle, co pół mili widzi się lodowiec.

na stole stały szklanki z winem i talerze ze świeżo upieczonym łososiem. Jose mieszka na tej farmie od 16 lat i zajmuje się końmi. Ma ich 20, ale w okolicy pasie się ponad 600 dzikich sztuk. Regularnie łapie pojedyncze okazy i je oswaja. W gospodarstwie mieszka również Miguel, dwudziestokilkuletni Chilijczyk z Santiago, który korzystając z wakacyjnej przerwy na uniwersytecie, uczy się, jak być gauczo – tak jak kiedyś jego ojciec. Choć jak sam przyznaje, niewiele można na tym zarobić i coraz mniej ludzi decyduje się żyć w taki sposób: – *Żyje się ubogo, bez telewizora, bez internetu, bez dyskotek, tylko szum wiatru i morza oraz góry wokół.*

Następnego dnia wybraliśmy się na konną przejażdżkę. Przeprawiliśmy się przez kilka płytkich strumieni i wyjechaliśmy na rozległą równinę. Miguel zatrzymał się. – *Patrzenie* – wskazał ręką miejsce u podnóża jednej z gór – *salvajes, dzikie konie*. Stado ponad stu sztuk uciekało, spłoszone naszą obecnością. W drogę powrotną ruszyliśmy galopem. Po trzygodzinnej przejażdżce zatrzymaliśmy się na farmie cali upaprani kawałkami błota ciskanymi spod kopyt.

KONDOR NAD CONNOREM I LWY

Kilka dni później wpłynęliśmy do Caleta Olla, czyli Zatoki „Garnkowej”. Rzeczywiście kształtem przypomina garnek, jest osłonięta praktycznie ze wszystkich stron. W archipelagu Ziemi Ognistej niewiele miejsc pozwala na bezpieczne kotwiczenie. Szczególnie groźne są porywiste wiatry osiągające niekiedy siłę huraganów. Dlatego najlepszym sposobem zatrzymywania się w tutejszych zatokach jest stosowanie bardzo długich cum biegnących we wszystkich możliwych kierunkach i przywiązanych do drzew lub głązów. Tak zacumowany jacht wygląda, jakby utknął w pajęczynie, ale nawet silny wiatr nie rzuci go na skały.

Z Caleta Olla wybraliśmy się na trekking wzdłuż wartkiego strumienia. Jak w większości miejsc w Ziemi Ognistej, nie ma tu oznaczonych tras, szliśmy więc na azymut, podążając szlakami wydeptanymi przez guanako. Wspięliśmy się na górę, z której jak na dłoni było widać kanał Beagle i cumującego w zatoce „Nek-



FOT. KAROL JANAS



CZEKAJĄC NA DARWINA
Niewiele trzeba,
by na środku kanału
Beagle ujrzeć oczami
wyobraźni trójmasztowy
HMS Beagle,
na pokładzie którego
przyłynął tu niegdyś
Karol Darwin.

tona”. Z innych stron błyszczały niebieskie jęzory lodowców Italia i Holandia. Wokoło krążyły wielkie czarne kondory. Jeden przeleciał nad naszymi głowami. Dłużej kołował nad Connorem, który wyprzedził nas o kilkaset metrów. Pewnie zakładał, że to słaba jednostka odrzucona przez resztę stada. Najwyraźniej Connor nie wyglądał, jakby miał niedługo paść, więc kondor dał za wygraną i odleciał.

Gdy tylko wpłynęliśmy do lewej gałęzi fiordu Seno Pia, na wodzie pojawiły się dryfujące kawałki lodu. Początkowo pojedyncze i nieduże, niewiele większe od piłki do ko-

szkówki. Im dalej płynęliśmy, tym było ich więcej i były większe, niektóre wielkości samochodów dostawczych. Gosia stała za sterem i manewrowała pomiędzy pływającymi przeszkodami. Komendy wydawał Tadek, który stojąc wyżej, mógł dokładnie widzieć, co dzieje się przed dziobem.

Gdy znaleźliśmy się na końcu zatoki, ujrzeliśmy trzy jęzory lodowca Guilcher – dwa boczne schodziły bezpośrednio do wody, a środkowy ześlizgiwał się z doliny pomiędzy dwoma szczytami. Podpłynęliśmy na 50 metrów do lewego jęzora, wyłączyliśmy sil-

Kilkutygodniowa wyprawa po Ziemi Ognistej była tylko krótkim fragmentem 4,5-letniego rejsu kapitana Łukasza Natanka na jachcie „Nekton”.



FOT. FABUSZ/ATV/EX

nik i pozwoliliśmy łódce dryfować pośród kawałków lodu. Wielkie błękitne cielsko lodowca wydawało dźwięki, jakby żyło: pękało, skrzypiało, grzmiało, kawały lodu co chwila odłamywały się i z hukiem podobnym do wystrzału z pistoletu wpadały do wody. Na ścianie lodowca widać było ciemne, brudnoszare miejsca, wystawione przez długi czas na działanie czynników zewnętrznych, i te o kolorze jasnyniebieskim, świeżo odsłonięte przez oderwane fragmenty. Zabraliśmy na pokład jedną z niewielkich dryfujących kostek lodu – idealną jako wkład do drinków.

Największe targi
KONTRAKTACYJNE
w Europie Środkowo-Wschodniej



ORGANIZATORZY:



KIELCE BIKE-EXPO

Międzynarodowe Targi Rowerowe

24-26 września 2015



INFORMACJE:
Menedżer Projektu: Joanna Marcjan,
tel. 41 365 12 43, e-mail: marcjan.j@targikielce.pl
Zastępca menedżera projektu: Bartłomiej Terlecki,
tel. 41 365 14 32, e-mail: terlecki.b@targikielce.pl

www.bike-expo.targikielce.pl • www.facebook.com/KielceBikeExpo



R E K L A M A

Płynąc wąskim fiordem Garibaldi, natknęliśmy się na przesiadującą na łódce kolonię lwów morskich. Na skalistym brzegu kręciło się kilkadziesiąt osobników. Niektóre leżały nieruchomo, kilka spacerowało po brzegu, inne pluskały się w wodzie, jeszcze inne walczyły między sobą. Muczały, ryczały, wyły, piszczały – hałas był niesamowity. Zajęte sobą nie zwracały na nas najmniejszej uwagi.

Sezon na żeglowanie po Ziemi Ognistej to przede wszystkim grudzień, styczeń i luty. Zaletą tego okresu jest bardzo długi dzień. I mimo że to pełnia lata na półkuli południowej, temperatury w ciągu dnia wahają się między 5 a 10 stopni, w nocy często spadają poniżej zera i pojawiają się opady śniegu. Surowy klimat tej krainy sprawił, że jest prawie niezamieszkała, co czyni ją idealnym miejscem dla pasjonatów żeglarstwa, trekkingu i dzikiej przyrody. ○



Karol Janas

Inżynier, antropolog, żeglarz i autostopowicz. Na „Nektonie” brał udział w siedmiomiesięcznej wyprawie po wyspach Oceanii oraz dwumiesięcznej w Patagonii i Ziemi Ognistej. Od dwóch lat mieszka w Norwegii, gdzie zarabia na własną łódkę.

Do Szwajcarii nie pojechałem założyć konta w banku ani po nowy zegarek. Ser i czekoladę kupowałem w skromnych ilościach, bo niewielka porcja kosztowała tyle, co niezły obiad w polskiej restauracji. Nawet góry nie były tym razem w centrum mojego zainteresowania. Po co więc pojechałem? Po kawałki desek i ścian...

Pierwszym przystankiem była Lucerna, miasto, którego położenia można naprawdę pozazdrościć. To miejsce wybrał sam Pan Bóg, wysyłając do mieszkańców biednej, rybackiej wioski anioła na świetlistym obłoku, żeby wskazał im miejsce, w którym mają wybudować kaplicę ku czci św. Mikołaja, który jest patronem m. in. właśnie rybaków. Ów plan okazał się strzałem w dziesiątkę. Goethe, wspiąwszy się na jedną z okolicznych gór, napisał po wiekach: „Dokoła wspaniałość świata”. Zresztą nie tylko Pan Bóg miał dobre oko, Wilhelm Tell również – to właśnie niedaleko stąd zastrzelił z kuszy habsburskiego zarządcę. Wagner z kolei pracował tu nad swoimi operami i często gościł Nietzschego. Do „miasta światła” z dalekiej Ameryki zawitał nawet Mark Twain.



Marek Pindral

KRAJ JAK MALOWANY

WALECZNE SERCE

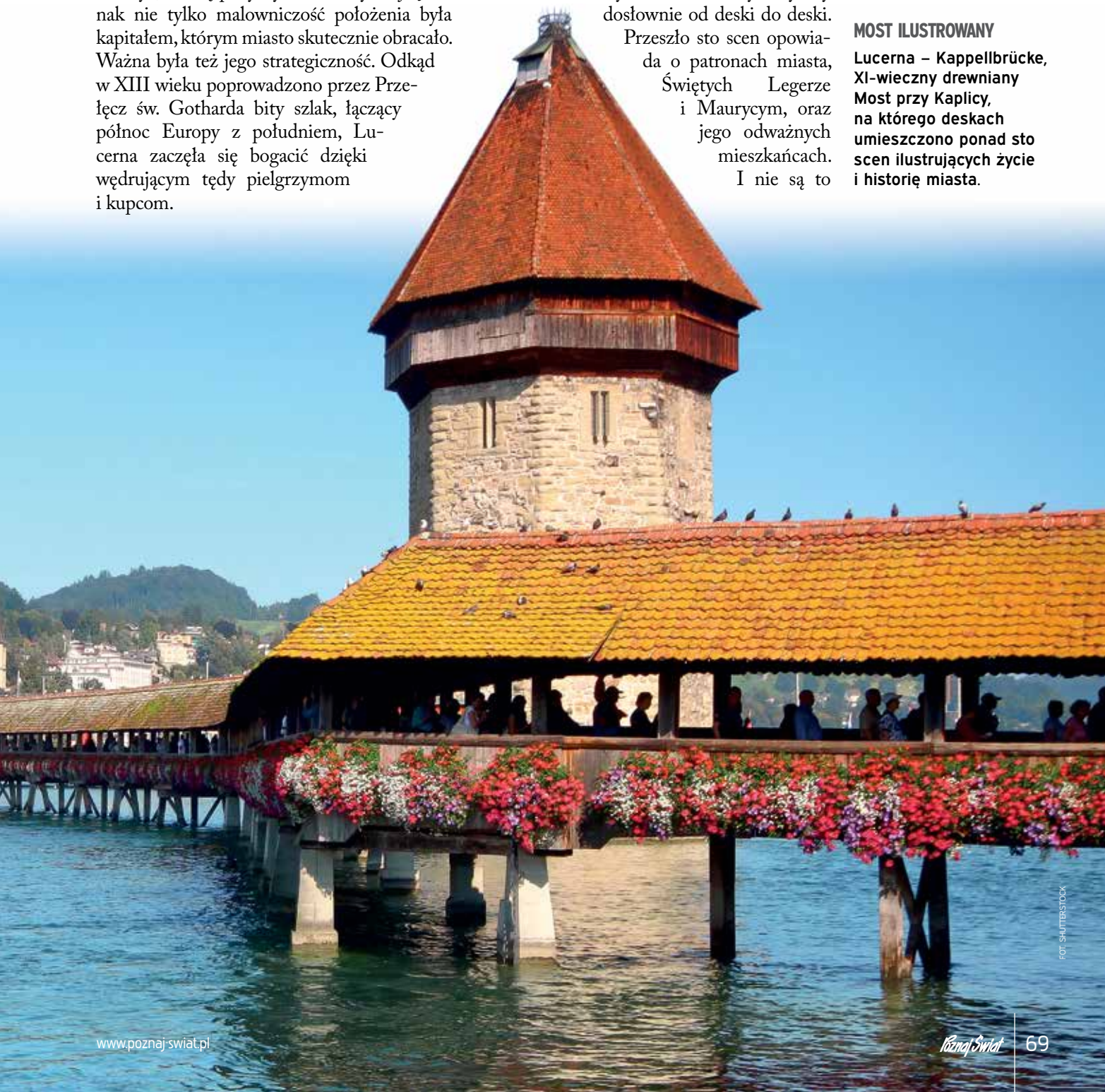
Lucerna usadowiła się u podnóża góry Pilatus, po obu stronach rzeki Reuss, wypływającej z Jeziora Czterech Kantonów. Leży zatem w sercu kraju i jest tym sercem dosłownie, bo właśnie w tym regionie, przeszło siedemset lat temu, trzy kantony podpisały pakt o utworzeniu konfederacji (od jednego z nich, Schwyz, nazwę pożyczył sobie cały kraj). Jednak nie tylko malowniczość położenia była kapitałem, którym miasto skutecznie obracało. Ważna była też jego strategiczność. Odkąd w XIII wieku poprowadzono przez Przełęcz św. Gotharda bity szlak, łączący północ Europy z południem, Lucerna zaczęła się bogacić dzięki wędrującym tędy pielgrzymom i kupcom.

Najstarszy z istniejących do dziś mostów, będących częścią owego szlaku, opowiada historię grodu umieszczonymi na nim malowidłami. Niestety część czternastowiecznej drewnianej konstrukcji spłonęła w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku – ogień wdarł się na Kappellbrücke z przycumowanej do niego łódki. Dziś starannie odrestaurowany most może być czytany dosłownie od deski do deski.

Przeszło sto scen opowiada o patronach miasta, Świętych Legerze i Maurycym, oraz jego odważnych mieszkańcach. I nie są to

MOST ILUSTROWANY

Lucerna – Kappellbrücke, XI-wieczny drewniany Most przy Kaplicy, na którego deskach umieszczono ponad sto scen ilustrujących życie i historię miasta.





WIERNY JAK SZWAJCAR

Konający lew przebity włócznią – smutny, przejmujący pomnik poświęcony „Szwajcarskiej wierności i odwadze”, znajdujący się w Lucernie.

bynajmniej czcze przechwałki, podkolorowane na ich zlecenie.

Świadczy o tym również najsmutniejszy kamień na świecie, jak nazwał wykutego w skale lwa wspomniany Mark Twain. Lew, zaprojektowany przez Thorwaldsena (tego od księcia Poniatowskiego i Kopernika w Warszawie), kona przebity włócznią. Bo pomnik upamiętnia szwajcarskich żołnierzy, którzy

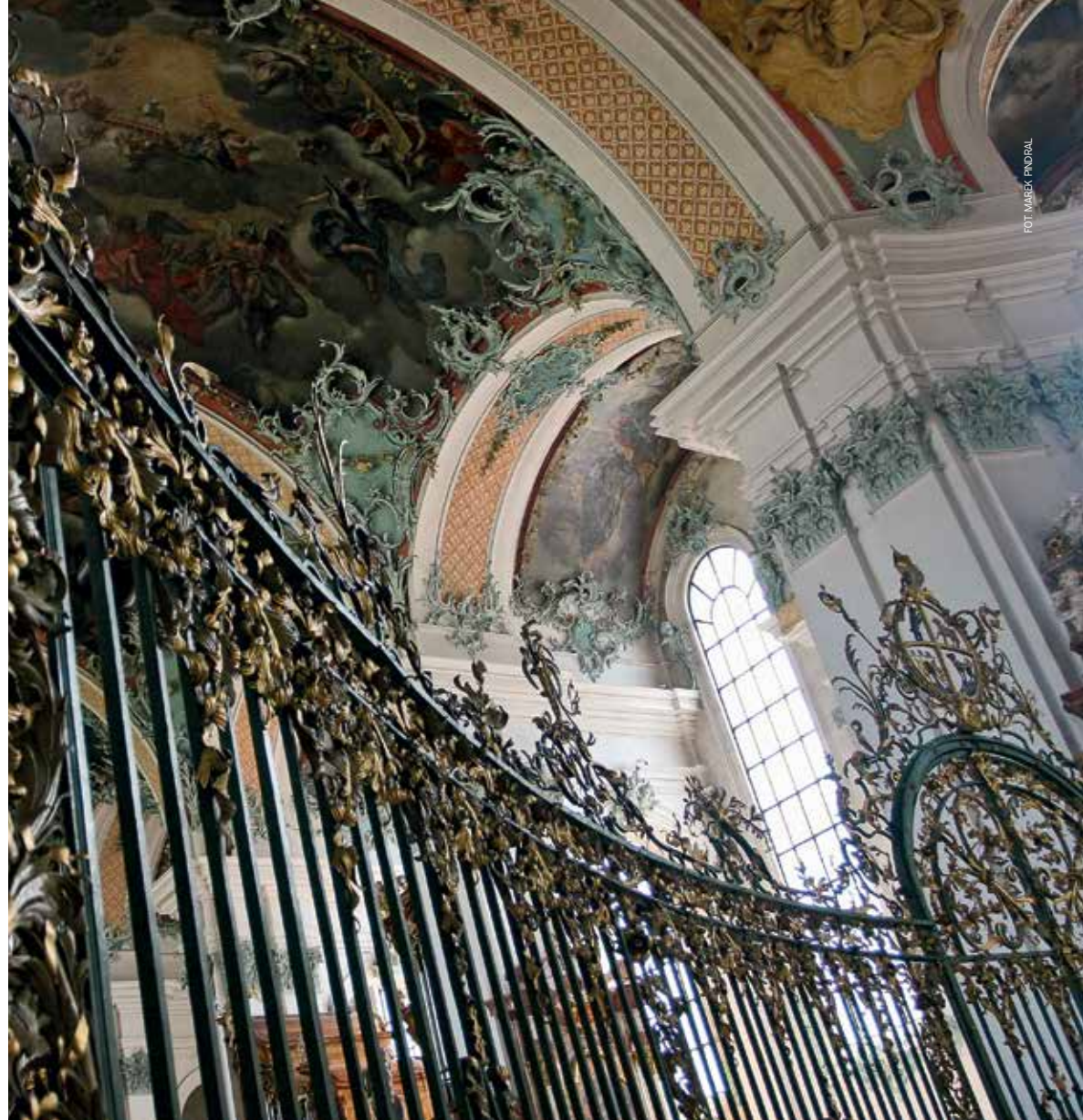
polegli, broniąc francuskiego króla Ludwika XVI przed rewolucjonistami. Dlatego nad głową cierpiącego lwa wryto napis „Helvetiorum Fidei ac Virtuti” (Szwajcarskiej wierności i odwadze). Zresztą ową wierność i odwagę do dziś doceniają papieże (Lucerna to ostoja katolicyzmu w protestanckiej Szwajcarii) i swoich gwardzistów rekrutują właśnie w tym kraju.

ŚRODA POPIELCOWA NA MOŚCIE

Mieszkańcy Lucerny dbają o podarunki, które dostali od Pana Boga. Świadczy o tym choćby niezwykła czystość wody w rzece, jaką udaje się im utrzymać. Innym dowodem na to są



FOT. MAREK FENDRAL



FOT. MAREK FENDRAL

ściany kamienic pełne kolorowych fresków, tych starych, i tych nowszych. Czyż można w sposób bardziej widoczny wyrazić radość z powodu tego, gdzie się mieszka?!

Te bogato zdobione domy zamożnych mieszczan mają tu jednak swoją drugą szalę, która stara się zachować równowagę między tym, co doczesne, a tym, co będzie potem. To malunki na Moście Młyńskim, zwanym też Plewnym, bo kiedyś wrzucano stąd do wody roślinne odpady. To prawdziwy taniec śmierci... Ponad sześćdziesiąt obrazów Caspara Meglingera, powstałych na drewnianych deskach w pierwszej połowie siedemnastego wieku, jest jak nieustanna Środa Popielcowa, przypominająca przechodniom o ulotności tego świata. I mimo tego, że on przemienie,

nie należy zapominać, że nasze uczynki są skrupulatnie notowane, a w odpowiednim czasie będą podliczone. Dlatego kościoł trupy otaczają nadętych pychą wielmożów i skąpe kobiety, strzelają z łuku do tłustych mnichów i przygrywiają na harfie zakonnikom. Gdzie jak gdzie, ale w mieście bogaczy i hazardzistów takie rekolekcje są ciągle przydatne. Bo przecież w Szwajcarii nawet bieda wygląda bogato...

Pamiętam, że będąc w drodze na szczyt Säntis, najwyższy w masywie Alpstein, wyczytałem, że przejeżdżam właśnie przez najbiedniejszy region kraju. Zacząłem się więc intensywnie rozglądać na lewo i prawo, wyglądając „biedę”. Może chodzi o to, że po drodze mijam pasterzy i pasterki prowadzących na łąki stada krów? Może oznaką biedy jest tu noszenie

BENEDYKTYŃSKA PRACA

Fragment późnobarokowego wnętrza katedry św. Gawła w opactwie St. Gallen. W 747 roku powstał tu Klasztor Benedyktynów, którzy stworzyli pod słynne w średniowieczu duchowe centrum chrześcijaństwa. Tutejsza biblioteka do dziś posiada jeden z najbogatszych i najstarszych księgozbiorów na świecie.



MURALE

Ściany starych mieszczańskich kamienic w Lucernie, bogato zdobione malowidłami i freskami.

nie garnituru, ale spodni na szelkach oraz długich sukien i koronkowych bluzek, zamiast garsonek i butów na wysokim obcasie? Może to, że zamiast laptotów noszą pięknie zdobione, drewniane wiadra na mleko, a pasterze, zamiast złotych zegarków na przegubach, mają złoty kwiatek w uchu?

Rzeczywiście czas tutaj nie płynął tak szybko, jak w Lucernie, gdzie jeden z zegarów posiada nawet przywilej wybijania godzin z minutowym wyprzedzeniem. W krainie szwajcarskiej „biedy” żyje się blisko natury, a czas mierzy się wschodem i zachodem słońca.

W SANATORIUM DLA DUSZY

Malowaną Szwajcarię zastałem też w Sankt Gallen, którego nazwa pochodzi od imienia irlandzkiego mnicha, św. Galla, który na początku VII wieku założył tu swoją pustelnię. Z czasem rozrosła się ona do rozmiarów wielkiego opactwa. Wielkiego nie tylko z powodu rozmiarów, ale i kulturowego znaczenia dla ówczesnego chrześcijańskiego świata. Świadczyć o tym może choćby przyklastorna bi-

co najmniej tysięcy lat. Kunsztownie zdobione stronicie opowiadają nie tylko o świętych czasach i ich bohaterach, pełne są także porad prawnych czy medycznych, można wraz z nimi podążać ścieżkami literatury i muzyki. W galleńskim „sanatorium dla duszy”, jak określa bibliotekę grecki napis nad wejściem, wiadano też, że i innych trzeba rozumieć – największe freski opisują spotkania ekumeniczne wczesnego kościoła.



blioteka, podobnie jak kościół przebudowana w stylu późnego baroku. Czyli mnóstwo zdobień, mnóstwo fruwających między półkami aniołków, każdy centymetr sufitu zamalowany freskami. Jednak dzięki stojącym na owych półkach księgom oraz proporcjom sali nie czujemy, żeby coś nas rozpraszało, bo to one skupiają uwagę.

Wśród 170 tysięcy dzieł jest tu ponad dwa tysiące manuskryptów, z których czterysta ma

Muzykujący w pobliżu uliczny grajak, stojący pod starą kamienicą z kolorowymi wykuszami, musiał raptem przerwać swój koncert i spakować jednoosobową orkiestrę. Nie miał pozwolenia. Gdyby żył nie na początku trzeciego tysiąclecia, ale pod koniec pierwszego, ostrzegłaby go pewnie Święta Wiburada, która w swojej wizji ujrzała zbliżające się do opactwa i miasta oddziały węgierskich najeźdźców. Mieszkańcy i mnisi ze swoimi skarbami zdą-

PĘDZĄCY PRZEZ WIEKI

Jeden ze średniowiecznych fresków w malutkim (3 tys. mieszkańców), baśniowym miasteczku Stein am Rhein, przedstawiający pędzący powóz. Tutaj czas zatrzymał się w miejscu, a najstarsze dekoracje opisujące dawne życie mają prawie pół tysiąca lat.



TE WYKUSZE MAJĄ DUSZE

Kolorowe fasady kamieniczek z pięknymi, sędziwymi wykuszami na starym mieście w Stein am Rhein.

żyli się ewakuować, dzielna kobieta postanowiła jednak zostać na miejscu dłużej i, niestety, została przez okupanta zabita.

Grajek potulnie wykonał polecenie, bo taką wizję porządku mają dziś miejsca rajcy. Teraz tylko cisza, od czasu do czasu przerywana dzwonkiem roweru, który można wypożyczyć, żeby poruszać się po starówce. Co ciekawe, rowery są też pomalowane – można sobie wybrać ten z czerwonymi oponami albo zielony czy niebieski; siodełka też do wyboru i koloru – w kwiatki żółte albo różowe, w pasy albo esy floresy. Największe pole do ma-

larskiego popisu dały jednak ramy i błotniki, na których wyrosły prawdziwe ogrody! Jednak wielka uczta dla oczu dopiero mnie czekała.

GALERIA POD NIEBEM

Gdybym miał nakręcić filmową baśń o dzielnych księżętach i urokliwych księżniczkach, to nie budowałbym scenografii, tylko od razu pojechał do Stein am Rhein, bo tam gotowe dekoracje już stoją. I to od średniowiecza. To prawdziwa, mieszczańska galeria pod gołym niebem. Fasady domów z pruskiego muru są



FOT. MAREK PINDRAL



FOT. MAREK PINDRAL

PELIKANEM BĄDŹ!

Ptaka karmiącego młode własną krwią to pelikan, będący w średniowieczu symbolem ofiary i poświęcenia. Ten umoralniający fresk widnieje na jednym z zabytkowych domów w Stein am Rhein.



Marek Pindral

Odwiedził kilkadziesiąt krajów, zamieszkując w Wielkiej Brytanii, Chinach i Omanie. Wrażeniami dzieli się w artykułach, książkach i na wystawach fotograficznych. Przetłumaczył na język polski nauki jednego z hinduskich awatarów, w którego aśramie spędził kilka tygodni. W 2013 r. ukazała się jego książka „Chiny od góry do dołu”.

bogato zdobione malowidłami, z których najstarsze mają blisko pięćset lat. Czego my tu nie mamy! Są sceny z życia miasteczka, takie, które opisują mieszkańców i ich profesje – jakby ówczesne reklamy, z tą jednak różnicą, że po zapoznaniu się z malunkiem ma się ochotę patrzeć nań dalej. Są historie z morałem, jest antyk, jest miłość i pożądanie, jest frywolność.

Anioł sąsiaduje tu z bykiem, pelikan, karmiący potomstwo własną krwią, z myśliwym polującym na dziką, a nad skrzętnie odzianą niewiastą z książką w dłoni stoi ta, która nie ma na sobie żadnego przyodziewku. Jest też

filozof Diogenes, który poucza z beczki Aleksandra Wielkiego, a nieco dalej dwaj mężczyźni taszcą na kiju olbrzymią kiść fioletowych winogron. Ich głowy odwracają się w naszym kierunku tylko na chwilę, bo błysk w oczach sugeruje, że biesiada, na którą się pewnie spieszą, raczej nie będzie miała intelektualnej natury (przy tutejszym klasztorze można do dziś podziwiać olbrzymią drewnianą prasę do produkcji wina). Ja jednak owego dnia nigdzie się nie spieszyłem, więc stałem tam dalej i upajałem się ich widokiem... ○



NAVIGATOR




Nasze rekomendacje na krótkie wypady



U Świętego Antoniego

Jałówka to niewielka miejscowość leżąca niedaleko granicy z Białorusią. W otoczeniu bogatej przyrody Lasu Jałowskiego znajdował się niegdyś kościół św. Antoniego Padewskiego z XIX wieku, częściowo zburzony przez Niemców w 1943 roku.

Dzisiaj można podziwiać jedynie ruiny świątyni otoczone malowniczym murem. Sklepienie budowli zostało doszczętnie zniszczone, natomiast ściany boczne i słupy naw zachowały się aż do jego wiązań. W 2000 roku postawiono przed pozostałościami świątyni niewielką kapliczkę pod wezwaniem św. Antoniego, patrona osób i rzeczy zaginionych. Każdego roku w dzień patrona odprawia się tu mszę odpustową.

 53°00'N 23°54'E

Jałówka leży 60 km na północy wschód od Białegostoku.



FOT. WIKIPEDIA - ADRIAN GRZYCK

Włochy Rzym – dzielnica Eur

Rzymski Wersal

Rzymską dzielnicę EUR (Esposizione Universale di Roma) zaczęto budować w drugiej połowie lat 1930. na polecenie Benito Mussoliniego. Miała być miejscem wystawy światowej i przy okazji uświetnić 20. obchody „rewolucji faszystowskiej”. Wystawa się nie odbyła, ale duża część wielkiego projektu dzielnicy (inspirowana Wersalem) została zrealizowana. Powstały wielkie gmachy z żelbetonu i z kamienia w siatce prostopadłych ulic. W centralnej części założono park i jezioro. Na wzgórzu stanął kościół.

W dzielnicy warto zobaczyć Pałac Kultury Włoskiej, zwany ze względu na swoją formę i kształt Kwadratowym Koloseum, Pałac Zjazdów i Kongresów projektu Adalberta Libery, budowany na potrzeby Letnich Igrzysk Olimpijskich, oraz Muzeum Kultury Rzymskiej i Bazylikę Świętych Piotra i Pawła. Dziś dzielnica Eur jest głównym centrum biznesowym Rzymu.

 41°50'N 12°28'E

Do Rzymu dolecieć można tanimi liniami z kilku miast w Polsce.



FOT. SHUTTERSTOCK

Metropolia Północy

Najstarsze ślady archeologiczne świadczące o istnieniu Groningen datuje się na lata 3950-3720 p.n.e. W VIII wieku miasto było ważnym ośrodkiem handlowym. W 1614 roku założono tu renomowany uniwersytet Rijksuniversiteit Groningen, który początkowo miał służyć edukacji religijnej. Dziś aż 25 procent mieszkańców to studenci, dzięki czemu miasto przez cały rok oferuje wiele atrakcji kulturalnych, naukowych i artystycznych.

Najważniejszym i najbardziej znanym muzeum w Groningen jest muzeum miejskie, inne to morskie, uniwersyteckie, komiksu i graficzne. Jest tu również teatr Stadsschouwburg oraz Oosterpoort – centrum kulturalno-koncertowe. W dzielnicach Grote Markt, Vismarkt, Poelestraat i Peperstraat mieszka wielu młodych ludzi, przez co tętnią one życiem nie tylko w weekendy; większość barów czynna jest do 5 rano, a miasto zwane jest Metropolią Północy.



 53°13'N 06°34'E

Groningen leży 180 km na północny wschód od Amsterdamu.

Szwecja Volvo Auto Museum Göteborg



 57°42'N 11°58'E

Muzeum leży na wyspie Hisingen, około 10 km na zachód od centrum Göteborga. Do Göteborga latają tanie linie m.in. z Gdańska.

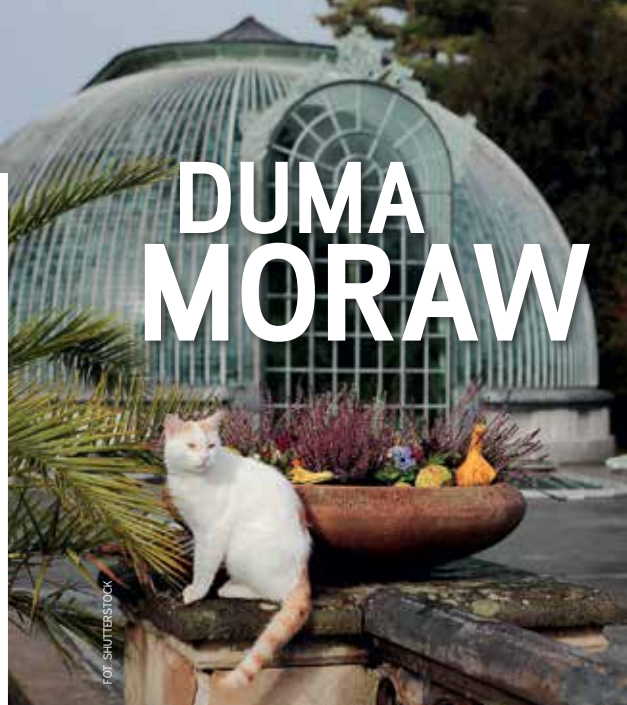
Nie trzeba być fanatykiem motoryzacji, aby docenić niesamowitą kolekcję zbiorów muzeum Volvo w Göteborgu. Prezentowane są tu modele samochodów osobowych, autobusów i samochodów ciężarowych, a także silników okrętowych i urządzeń budowlanych. Można zobaczyć m.in. pierwsze Volvo – ÖV4 Jacob z 1927 roku.



MOTOMUZEUM

Są tu również projekty, które nigdy nie ujrzały światła dziennego. Poznać można spory kawałek historii szwedzkiej motoryzacji lub po prostu podziwiać wyjątkowe okazy motoryzacji i dowiedzieć się, co sprawiło, że Volvo jest jedną z najsilniejszych marek na świecie. Aktualnie w muzeum zobaczyć można model Volvo XC90 zbudowany z klocków lego w skali 1:1.

DUMA MORAW



FOR SHUTTERSTOCK

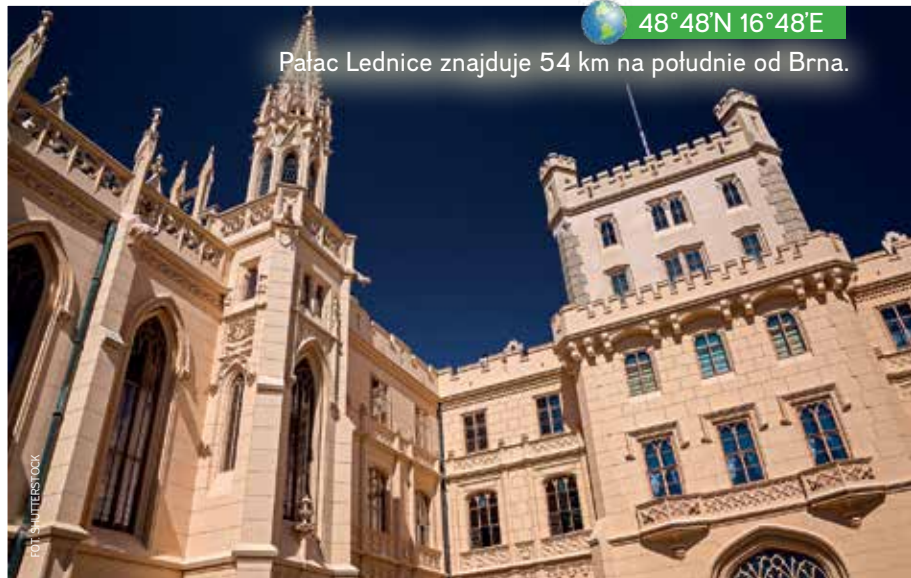
Pałac Lednice to najchętniej i najczęściej odwiedzany przez turystów obiekt zabytkowy na Morawach. Prawdopodobnie już w 1222 roku stał tam gotycki gród z dworem. Pod koniec XIII wieku cały teren przeszedł w ręce Liechtensteinów i w wieku XVI Hartmann II zastąpił go renesansowym zamkiem. Dzisiejszy wygląd pochodzi z lat 1846-1858

Czechy Pałac Lednice

i zawdzięczany jest Księżu Aloisowi II z Liechtensteinu, który przebudował Lednice w stylu angielskiego gotyku. Zwiedzający mogą podziwiać między innymi zabytkowe meble, klatkę schodową zbudowaną z jednego pnia dębu i kolekcję obrazów. Warto przejść się również po zamkowych ogrodach i parku, w którym znajduje się replika rzymskiego akweduktu, sztuczne jaskinie Piekło i Niebo oraz wieża widokowa w mauretańskim stylu.

 48° 48' N 16° 48' E

Pałac Lednice znajduje 54 km na południe od Brna.



FOR SHUTTERSTOCK

REKLAMA

Platforma, jakiej dotąd nie było

Powiat kamiennogórski stworzył nowatorską witrynę w ramach projektu „E- ziemia kamiennogórska – internetowa platforma turystyczna”. Innowacyjny portal jest odpowiedzią na brak wspólnej strony internetowej, która swoim zasięgiem obejmowałaby cały powiat i umożliwiła turystom zwiedzenie jak największej liczby jego urokliwych zakątków. Nowa platforma zawiera informacje dotyczące wszystkich atrakcji środowiska naturalnego i walorów kulturowych tego regionu. Turysta za jej pośrednictwem ma możliwość wglądu do pełnej zaktualizowanej bazy turystycznej i rekreacyjnej. Atrakcyjność portalu zwiększa interaktywna mapa – każdy może nie tylko zaplanować swoją wycieczkę, ale także – dzięki oku kamery – sprawdzić pogodę w poszczególnych miejscach w powiecie.

Platforma dostępna jest pod adresem: www.ziemiakg.pl



ZIEMIA
KAMIENNOGÓRSKA
Z NATURY SERCU BLISKA



Europejski Fundusz Rolny na rzecz Rozwoju Obszarów Wiejskich



Program Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013

„Europejski Fundusz na Rzecz Obszarów Wiejskich Europa inwestująca w obszary wiejskie”

Projekt realizowany przez Starostwo Powiatowe w Kamiennej Górze Projekt współfinansowany ze Środków Unii Europejskiej w ramach działania „Wdrażanie lokalnych strategii rozwoju” - mały projekt Programu Rozwoju Obszarów Wiejskich na lata 2007-2013



FOTOGRAF W DRODZE

Mikolaj Gospodarek



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

CZARNO BIAŁY ŚWIAT

Od kilku miesięcy mieszkam w Monachium. Zwiedzałem to miasto wcześniej, ale teraz patrzę na nie inaczej. Często spaceruję i zawsze mam ze sobą aparat. Kiedy wracam do domu, oglądam zdjęcia i zdejmuję z nich kolor. Zauważyłem to dopiero za trzecim razem i gdy ostatnio wybrałem się na plener, od razu przestawiłem aparat tak, by robił czarno-białe zdjęcia.

Jeden z moich profesorów na studiach mówił: „Zrób zdjęcie, schowaj je na 10 lat, później zrób czarno-białą wersję i każdemu się spodoba”. Inna teoria głosi, że usunięcie kolorów dodaje zdjęciu sztuki. Nie da się jednoznacznie stwierdzić, czy lepsze

są fotografie w kolorze, czy bez. Zależy to też od innych czynników i od upodobań. W końcu fotografia zaczęła się właśnie od czarno-białych obrazów rzeczywistości, które w tamtych czasach były czymś niezwykłym, bo pozwalały zapisać czas i go utrwalić. Wielu tradycjonalistów będzie odwoływało się do historii i z pogardą będą przyglądać się kolorowym slajdom, nie mówiąc już o plikach cyfrowych. Nowe pokolenie fotografów uzna kolor za jedynie słuszny i tak spór będzie trwał kolejne lata.

Zabranie koloru powoduje większe skupienie na treści. Sam doszedłem do tego, że w tych moich spacerowych kadrach nie liczy się forma, tzw. „ładność”, ale „treściwość”. Zabierając kolor, sprawia, że forma staje się uboga i pozwala treści ukazać się w pełnej krasie. Nie chodzi o to, że zdjęcie czarno-białe można zrobić niepoprawnie. Wręcz przeciwnie, dopiero tu ekspozycja musi być idealnie dobrana, tak żeby szczegóły nie zginęły w głębokiej czerni. Zdjęcie musi być kontrastowe i czytelne.

W pejzażu rzadko decyduję się na wersję czarno-białą. Zrobiłem to kilka razy tylko dlatego, że światło w kolorze odebrało całą magię scenie. Czasami jest tak, że ani zmiana temperatury barwo-

wej, ani kontrastu czy ekspozycji nie jest w stanie uczynić zdjęcia godnym obejrzenia w kolorze. Przykładem jest fotografia Matterhornu, którą wykonałem w kiepskich warunkach. Przeleżała kilka lat, aż kolejny raz sięgnąłem po nią. Zdjęcie koloru pokazało mi zupełnie inną fotografię. Na pierwszy plan wysunęła się treść przez lata ukryta pod nieatrakcyjnym kolorem.

Wiele osób pytało mnie, dlaczego pokazuję tylko zdjęcia w kolorze. W moich krajobrazach chcę zawsze pokazać prawdę o miejscu, jego urodę taką, jaka jest. Długie godziny spędzam w oczekiwaniu na odpowiednie warunki, często wręcz modłę się o piękne niebo. Wierność przekazu jest dla mnie najważniejsza. Chcę pokazywać pejzaże tak, jak je sam oglądałem.

Czarno-białe zdjęcia sprawdzają się w reportażach. Obserwując światowe tendencje, widzę, że konkursy fotografii prasowej w przeważającej części wygrywają właśnie materiały monochromatyczne. Dzięki uproszczeniu formy przekaz staje się jaśniejszy, problem czy wydarzenie jest w centrum zainteresowania. Nie zastanawiamy się nad porą roku ani dniem – liczy się tylko to, co autor chciał przekazać. Bywają jednak miej-



FOT. MIKOŁAJ GOSPODAREK

sca, które nawet w przypadku reportażu same proszą się o kolor. Meksykański targ czy poranek w Indiach zawsze zachwycają egzotycznością barw.

W przypadku portretów trudno podać przepis – czasami lepiej ogląda się je w kolorze, czasami bez. Szerpa obciążony ładunkiem na tle gór jako cała postać lepiej zaprezentuje się w kolorze, ale czy zbliżenie jego twarzy również? Może kolor zdradzi niejedyn trud, jaki przeżył, uwidoczni, jaki ten człowiek jest. Warto zobaczyć dwie wersje i je porównać. Zdecydować, która przywołuje lepsze wspomnienie o tym człowieku. Zdjęcie ma być nośnikiem prawdy.

Ważne w reportażu jest zachowanie spójności. Nie akceptuję mieszaniny – trochę kolorowych kadrów rodem

z Hollywood i trochę stylizowanych na XIX-wieczny Londyn czarno-białych obrazków. Nie znaczy to, że z jednej podróży nie można przywieźć zdjęć kolorowych i czarno-białych, ale ważne, żeby w prezentacji ich nie mieszać.

Monochrom kojarzy mi się z czasem, który minął. Z czasem, w którym nie było mnie na świecie. W tych zdjęciach zakłętę są przeżycia i chwile. Coś w tym jest, że oglądając stare rodzinne albumy, robimy to z uwagą, a gdy przeglądamy zdjęcia ślubne znajomych, to klikamy jedno za drugim bez większego zastanowienia. Czarno-białe zdjęcia kojarzą się nam z czymś ważnym i może dlatego je tak lubimy.

Kolor czy monochrom? Decyzję trzeba podjąć samodzielnie, nie kierując

się modą czy trendami. Chodzę po Monachium i to miasto maluje mi się na czarno i biało, ale już Wenecja krzyczy o kolor. Trzeba mieć w sobie odwagę patrzenia, a później podjąć decyzję – ten kawałek świata jest taki. I kropka. ◯

Mikołaj Gospodarek

Większość podróży podporządkowuje utrwalaniu świata na zdjęciach. Ukończył studia na Wydziale Filmu i Fotografii w WSSiP w Łodzi. Publikuje zdjęcia w kalendarzach, książkach i na pocztówkach w Polsce i Europie. Realizuje dużo projektów wieloletnich, wracając w niektóre miejsca cyklicznie. Nieustannie poszukuje nowych, mało znanych miejsc. Twierdzi, że jego najlepsze zdjęcia to te, których jeszcze nie zrobił.





Witold Palak

OSIOŁKIEM PRZEZ HIMALAJE

Jednym z ostatnich miejsc prawie wolnych od turystów jest w Indiach region Ladakhu – trudno dostępny, klimatycznie kapryśny i przez połowę roku odcięty od świata. Do podróży po nim wybrałem środek lokomocji dający szansę na niezależność i będący zarazem legendą motoryzacji. Mało seksowny, hałaśliwy i niedoskonały technicznie. Dla jednych archaiczny, dla innych jednak kultowy. Motocykl Royal Enfield. W sam raz na himalajskie wertepy.





I CO JA ROBIĘ TU?

Chwila refleksji i odpoczynku przed dojazdem do Sarchu, w połowie pięciodniowej wędrowki z Manali do Leh, stolicy Ladakhu. W tle dziwne formacje skalne przypominające zakapturzonych członków Ku Klux Klanu.

Razem z moją partnerką Dorotą wyruszyliśmy z Manali objuczeni bagażami jak uchodźcy, a nie turyści. Nasz RE Bullet Electra w kolorze zielony metallic ledwie ciągnął w górę, kiedy pokonywaliśmy pierwszą przeszkodę – przełęcz Rohtang (3878 m n.p.m.). Kolejne przełęcze: Baralacha La (4891 m), Nakeela Pass (4739 m) i pierwszy na trasie „pięciotysięcznik”, czyli przełęcz Lachalung La (5100 m), starały się wykończyć motocykl do reszty. Lecz ten nie poddawał się i mozolnie piął się w górę. Wtedy z wdzięczności nadaliśmy mu imię... Zielony Osiołek.

BABA Z WOZU..

Electra z silnikiem 350 cc jest idealna na górskie szlaki, ale tylko z kierowcą. Nas dwoje plus obładowany bagażnik to było prawdziwe wyzwanie nie tylko dla pojazdu, ale i praw fizyki. Balansowanie niewyważonym ciężarem pozbawiało motocykl sterowności, więc jeden zły manewr mógł się zakończyć w przepaści. Po pięciu dniach klasycznej trasy Manali–Leh udało się jednak dojechać do stolicy Ladakhu.

Leh przywitało nas paskudną, jesienią szarugą. Nasze plany eksploracji regionu Changtang i doliny Nubra zawiśły na włosku. Ale kiedy po tygodniu lekko się przetarło, zdobyliśmy zezwolenie na wjazd na tereny kontrolowane przez wojsko i w końcu ruszyli-



FOT. WITOLD PALAK

KONWÓJ NAD PRZEPAŚCIĄ

Widok na południową stronę przełęczy Zoji La, po której z Ladakhu do Kaszmiru czołgają się pracowite ciężarówki.

śmy. Fatalna nawierzchnia po 70 kilometrach sprowadziła nas jednak na ziemię. Nie da się zdobywać Himalajów ze złamanym resorem. W połowie drogi nad jezioro Tsomoriri musieliśmy więc odtrąbić odwrót i powrócić do Leh. Nasz Osiołek potrzebował dobrego „wetrynarza”.

Potem spróbowaliśmy innej trasy – nad jezioro Pangong. Droga, początkowo łagodna i niemal relaksująca, po dwóch godzinach zaczęła delikatnie kręcić się i wspinać. Rozpoczął się mozolny, coraz trudniejszy podjazd pod Chang La. Trzecia wśród najwyższych przejezdnych dla ruchu cywilnego przełęczy na świecie (5360 m n.p.m.) nie poddawała się bez walki. Roboty na drodze, stromizny na zakrętach i kamienisto-piaszczysta nawierzchnia zrobiły swoje. Motocykl opadł z sił, a nieodpowiednio wyregulowany gaźnik dobił go do reszty. „Baba z wozu, Osiołkowi lżej” – można by sparafrazować ludowe powiedzenie, więc Dorota w pełnym motocyklowym umundurowaniu wchodziła na przełęcz pieszo. Ten trekking na szczęście szybko się skończył, bo skorzystała z lokalnego ambulansu, który ją podwiózł. Stanęliśmy na szczycie, a widok stamtąd był nagrodą za poniesiony trud.

Ostatnie kilometry podróży mieliśmy już raczej łagodnymi asfaltowymi wstęgami, aż stanęliśmy przed szafirową plamą jeziora. Pangong Tso jest największym i najwyżej położonym w Azji jeziorem słonowodnym. Leżące na wysokości 4420 m, szerokie na 4–6 km,



FOT. DOROTA PALAK

a długie na 150 km, tylko w jednej trzeciej należy do Indii. Reszta to już terytorium Chin (a właściwie Tybetu). Wysoka zawartość soli mineralnych nie sprzyja życiu i kryształowo czysta woda jest domem jedynie dla form prymitywnych, krewetek i muszli. Spacer brzegiem, moczenie nóg w mineralnej solance, gapienie się w kolory wody dawało poczucie szczęścia i wolności. Zniknął zabójczy szafir i pojawiła się ultramaryna, przechodząca w stalową szarość.

KARETKĄ NA SZCZYT

Witold zdobywa przełęcz Chang La motocyklem. Dorota, która przed szczytem odciążyła pojazd, przesiadła się okazji do ambulansu, skąd sfotografowała finalny wysiłek Osiołka i jego pana.

WYŻEJ KHANDUNG NIE POJEDZIESZ

Kolejną niezwykłą krainą okazała się dolina Nubry. Położona na północ od Leh i bliższa kulturowo Pakistanowi, odgradzona jest od



FOT. WITOLD PALAK

LETNIE ZIMÓWKI

Błotnik i letnie opony enfienda tuż po zdobyciu Khardung La w drodze powrotnej z Doliny Nubry.



FOT. WITOLD PALAK

SAMOOSŁUGA Z ASYSTĄ

W Debring przed zjazdem nad jezioro Tso Kar. W naprawie pękniętego bagażnika pomagają Dorocie mieszkańcy wioski.



FOT. WITOLD PALAK

WE WSI WESELE

Przyjęcie w Khardung Village, gdzie podróżnicy zostali honorowymi gośćmi hucznych uroczystości weselnych.

Indii kontynentalnych niebosiężną bramą Khardung La (5602 m n.p.m.), uznawaną za najwyższą na świecie położoną przełęcz dostępną dla cywilnego ruchu kołowego. Amortyzatory wystukiwały niepokojące *ostinato* na kamiennych wertepach tuż przed szczytem. Silnik ledwie ciągnął na jedyne, gaźnik głupiał, bagażnik trzeszczał w spawach, a kierownica wyskakiwała z rąk. Ale nie wolno było się zatrzymać, gdyż ponowny start na wzniesieniu byłby ponad siły motoru, a wyłączenie przegrzanego silnika na tej wysokości byłoby zdarzeniem zabójczym.

Nubra otwarta jest dla obcokrajowców dopiero od 1994 roku. Ze względu na bliskość Pa-

kistanu jest ciągle terenem spornym. To właśnie tutaj, a nie w Kaszmirze, jak głośzą hasła reklamowe, odnaleźliśmy coś, co można by określić rajem na ziemi. Dwie malownicze doliny, leżące u zbiegu rzek Nubra i Shyok, tworzą krajobraz odmienny niż reszta Ladakhu. Niemal płaskie drogi, które biegną wzdłuż rzek, prowadzą przez żyzne obszary o unikalnym mikroklimacie. Teren jest czasami skalisty i surowy jak reszta Ladakhu, czasami zielony, a w okolicach Hunder pustynny, z efektownymi wydmami, pomiędzy którymi zobaczyć można karawany wielbłądów z turystami na grzbietach.

Klimatycznie czuliśmy się tu jak w Polsce. Dokładnie jak w polskiej wiosce jakieś 100 lat



FOT. WITOLD PALAK

PAMIĄTKA Z DUŻEJ WYSOKOŚCI

Na szczycie Khardung La, najwyższej na świecie przełęczy dostępnej dla cywilnego ruchu kołowego.



FOT. WITOLD PALAK

temu. Te same kwiaty w ogrodach, malwy pod drewnianymi okiennicami i warzywa na niewielkich zagonach, jedynie zamiast krów szwendających się po ulicach, wpadaliśmy na olbrzymie i bojaźliwe jaki. Za bazę swoich wypadów po dolinie obraliśmy wioskę Diskit. W trakcie jednego z nich Osiołek nagle stanął i nie reagował. Do jedyne go w okolicy mehanika motocyklowego pojechał na pace wynajętej furgonетки. Czekanie na małą część, bez której byłby tylko kupą złomu, zajęło nam trzy dni.

Permit nam się skończył i przed oczami mieliśmy już widmo plutonu egzekucyjnego. Do tego jeszcze w drodze powrotnej na Khardung La świadomie nadwreżyliśmy ogra-

niczenia regulaminowe. Przejeżdżając przez wioskę Khardung, natrafiłszy bowiem na tradycyjne, ladakhowskie wesele. Takiej okazji nie mogliśmy przepuścić. „Jeśli mają nas rozstrzelać za nielegalne przedłużenie pobytu, to jeden dzień więcej nie pogorszy już naszej sytuacji” – postanowiliśmy – i zostaliśmy honorowymi gośćmi. Zabawa była rewelacyjna.

Po noclegu w chacie druhny ruszyliśmy na powtórne zdobywanie przełęczy. Ale kara militarna została chyba zamieniona na klimatyczną, bo wjechaliśmy na nią, ślizgając się po świeżym śniegu. To, co w wesołej wiosce było zaledwie zadymką, na tej wysokości stało się regularną śnieżycą. I znów ostatni kilo-

SIEDEM WIEKÓW MEDYTACJI

Założony w XIV wieku buddyjski monastyr w Diskit, w Dolinie Nubry, najstarszy w tym rejonie Indii.



KIERDEL W REDYKU

Wieczorny powrót stad z pastwiska w pobliżu wioski Korzok do ich letniej noclegowni w wiosce Puh na płaskowyżu Changtang.

metr Dorota musiała przejechać autostopem, bo motocykl na swoich wyslizganych letnich oponach ani myślał ciągnąć pod górę. Ale Khardung La została zdobyta, i to w warunkach zimowych!

KOZY Z KORZOK I PASTERZE CHANGPA

Ambicjonalnie zaspokojeni jako odkrywcy bocznych dróg w Ladakhu zdecydowaliśmy jeszcze raz zaatakować jezioro Tsomoriri. Tym razem już z nowiutkimi amortyzatorami. Wjechać do Changtangu można z dwóch stron. Klasyczna trasa wiedzie wprost z Leh wzdłuż rzeki Indus, ale my postanowiliśmy dotrzeć tam trudniejszą i mniej ludną – przez Moorey Plains i jezioro Tso Kar. Po odbiciu od głównej drogi, prowadzącej do Manali, wjechaliśmy w totalne od-

ludzie. Tylko nasz przyjaciel czuł się tu jak wśród swoich, kiedy pokazały się stada kiang (dzikich tybetańskich osłów). Jedyna wioska po drodze, Thukje, przywitała nas pustką i zamkniętymi drzwiami. Chorągiewki modlitewne łopotały na lodowatym wietrze, a my znów musieliśmy wracać na odludzie, jeśli nie chcieliśmy nocować wśród skał. Tuż przed nadejściem nocy dostrzeżliśmy jednak zabudowanie – szkołę dzieci nomadów Changpa z wioski Puga. Nauczyciel zaoferował tam nocleg, a młodociany kucharz uraczył nas gorącym czajem.

Z Puga Sumdo, 5 km dalej, było już tylko 40 km do Tsomoriri. Ostatnie 10 km – jakby specjalnie zasypanych kamieniami przez kogoś chcącego zniechęcić potencjalnych gości – nie pozwalało na kontemplowanie widoków. Mając taflę jeziora po lewej, Osiołek dzielnie stukał po głazach, testując wytrzymałość no-



wych amortyzatorów. Te przeżyły, czego nie mogliśmy powiedzieć o bagażniku. Pomogła kolekcja „artystycznych” plecionek z drutu wiązałkowego oraz taśmy technicznej. Jezioro Tsomoriri słynie z urody. Oglądane wcześniej Pangong Tso to była tylko rozgrzewka przed estetycznym wstrząsem, jaki nas tu czekał. Tsomoriri za każdym razem różni się barwą, rysunkiem tafli, odbiciem otaczających je wzgórz.

Wreszcie zajechaliśmy do Korzok, jedynej udostępnionej turystom wioski nad jeziorem. Jej położenie na wysokości 4530 m n.p.m. umieszcza Korzok pomiędzy najwyższymi na świecie leżącymi osadami stale zamieszkanymi. Na skraju wsi znajdował się *check point*. Wojskowi sprawdzili zezwolenia i paszporty, wpisali nas do księgi i mogliśmy już tam legalnie wjechać. Naszym głównym celem było właśnie dotarcie

do nomadów z plemienia Changpa, którzy zamieszkują okolice Korzok, a w sezonie korzystają z pastwisk nad jeziorem.

Changtang, ojczyzna ludu Changpa, tylko w niewielkiej swojej części należy do Indii, reszta jest przypisana do Chin. Szczególnie wartościowe są tutaj kozy, z których pozyskuje się wełnę *pashmina*. Drugim „bydłakiem”, jakie stanowi treść życia pasterzy Changpa, jest owca. Możliwości wypasu owiec i kóz decydują o trybie życia ich właścicieli. Jedyne żywe, porośnięte roślinnością tereny w tym regionie znajdują się właśnie nad Tsomoriri. Ale Changpa nie są ich właścicielami – ziemię dzierżawią od ludu Ladakhi.

Zielony Osiołek dostał kilka dni urlopu i zaparkowany pod naszym hotelem powoli obrastał wioskowym kurzem, a my wybraliśmy się na pieszą wycieczkę. Wzdłuż rzeki dotar-

SŁODKIE POZOWANIE

Nomadzi Changpa – jeden z głównych celów tej wyprawy. Na zdjęciach: starsza mieszkanka z Korzok oraz trzylatek z Puğa Sumdo, który za wdzięczne pozowanie dostał garść cukierków.



DOJECHAĆ, BY POPATRZEĆ
Tsomoriri to jedno z najwyższych położonych jezior na świecie (4595 m n.p.m.). Do jego brzegów udało się dotrzeć dopiero przy drugim podejściu.

liśmy do wioski Puh, leżącej 4 km od jeziora i zamieszkaną także przez Changpa. Wyglądała jak opuszczona. Mieszkańcy pognali swoje stada bladym świtem nad jezioro, aby tą samą drogą, tuż przed zachodem słońca przyprowadzić je do kamiennych zagrod w wioski. Za kilka tygodni, kiedy lód i śnieg skują drogę i kiedy zamrzną strumienie, Changpa wyniosą się w ogóle ze swojej wioski, aby przezimować razem z trzodami na pastwiskach w Korzok.

BROKPA I WOJOWNICY ALEKSANDRA

Mniej więcej w połowie drogi pomiędzy Leh a Srinagarem, w regionie Sham, leży kilka wio-

sek, które zamieszkuje niesamowite plemię Brokpa. Przez wielu uważane jest za potomków armii Aleksandra Wielkiego i uznawane jednocześnie za ostatnich Ariów czystej krwi. Nikt właściwie nie wie dokładnie, skąd wzięli się w tych okolicach. Odizolowani od reszty społeczeństwa, kultywujący odwieczne tradycje, dumni i pracowici weganie, długo nie byli znani światu. Dziś jest ich zaledwie 4 tysiące!

Droga do Brokpa wiodła wzdłuż Indusu. W miarę zbliżania się do wiosek Hanu i Dha malownicza dolina stawała się coraz bardziej surowa. To jedyne wioski udostępnione przez armię indyjską dla ruchu turystycznego. Siedmiodniowe pozwolenia wydawane w Leh nie obejmują już wiosek Garkone i Darchik. Korzystając z nieuwagi na posterunku, udało nam



Prenumerata na lata

Stronami i...
www.poznaj-swiat.pl/prenumerata

z książkami i przewodnikami

z atrakcyjnymi dodatkami

dla aktywnych i w podróży

do Placów
Wiedzących za granicą

dostępna w wersji elektronicznej

z bonifikatą dla gimnazjów
i szkół średnich

Zamów prenumeratę roczną już od 109 zł

Telefonicznie: +48 (58)3508464, e-mail: prenumerata@poznaj-swiat.pl, SMS: 535444980,
treść: imię i nazwisko + adres. Przelew: BRE BANK SA 77 140 1065 0000 2145 6200 1004,
w tytule pełne dane adresowe + okres prenumeraty. Listownie: 80-252 Górniki, ul. Jaskowa Dolina 17

R E K L A M A

się wjechać do tej pierwszej. Na tych paranoicznie strzeżonych terenach nie była to mądra eskapada, ale za to nagrodzeni zostaliśmy sympatią mieszkańców, którzy rzadko goszczą obcokrajowców.

Spacerując kamiennymi ścieżkami, spotykaliśmy tam ludzi o wybitnie europejskich rysach i niebieskich oczach. Większość kobiet nosiła na głowach kapelusze, przystrojone monetami i suszonymi kwiatami. Miały długie, gęsto plecione i fantazyjnie związane warkocze i chętnie pozowały do zdjęć. Na parterze domu, w którym mieszkaliśmy, dziadek Tsewang (głowa rodu) co rano odmawiał tajemnicze modły. Okazał się być *Ihaba* (lokalnym szamanem). Dowiedziawszy się o skręconej kostce Doroty, odprawił nad nią długi ozdrowieńczy rytuał.

Z prawdziwym żalem opuszczaliśmy niezwyczajną krainę Ladakhu, świadomi też wyjątkowej łaskawości pogody. Ale ona nie mogła nas rozpieszczać w nieskończoność. Niebawem drogi mogły zostać zasypane śniegiem, który znika dopiero po sześciu miesiącach. Wtedy właśnie wpadliśmy na pomysł, który z powodzeniem realizują mieszkańcy Leh. Zamykają na pół roku swoje turystyczne interesy i przenoszą się kilka tysięcy kilometrów na południe, do niedawnej jeszcze portugalskiej enklawy Goa. Nawet widmo przedzierania się przez całe niemal Indie nie odstraszyło nas od podróży do jej słonecznych plaż. Naturalnie, na grzbiecie Zielonego Osiołka! Ale to już zupełnie inna historia. ○



Witold Palak

Z wykształcenia psycholog, z zawodu przedsiębiorca, z racji dokonań życiowych – nieustanny poszukiwacz. Mieszkał w Australii, Singapurze, Nepalu, Indiach, USA. Żeglarz, miłośnik Tatr i Himalajów. Gitarzysta, wielbiciel piosenki turystycznej i poezji śpiewanej.



Ewelina Korycińska

Ona wdzięcznie, on z przytupem

FOT. EWELINA KORYCIŃSKA



FOT. EWELENA KORCINIŚKA

Ten taniec inscenizuje władzę mężczyzny nad kobietą oraz naturą. On jest pierwiastkiem aktywnym i decyduje o następnym kroku. Jej rola ogranicza się do zręcznego wykonywania zamysłów partnera oraz jego ozdoby – ma być pełna delikatności i elegancji. I to, co wzburzyłoby feministki, w praktyce wygląda pięknie. Stanowi też ciekawy przykład transformacji tradycji oraz społecznych reguł w sztukę.

Joropo jest tańczony w parach. Uchwyt partnera jest silny, dający możliwość kontroli prowadzenia partnerki. Taniec charakteryzuje się szybkim ruchem nóg. W przypadku mężczyzn to tzw. *zapateo*, czyli przytupywanie na wzór konia w galopie. Kobiety wykonują *escobillado*, podczas którego unoszą do przodu wyprostowane nogi, przeplatając to ruchem stóp i naśladując dostojnie maszerującego konia. Oprócz tego występuje długa lista figur, w zależności od regionu oraz inwencji tancerzy.

Z Półwyspu Arabskiego, poprzez hiszpańską Andaluzję, zaczątki *joropo* dotarły w połowie XVIII wieku do rozległych sawann, stanowiących dziś część Kolumbii i Wenezueli. Owymi zaczątkami było wówczas *fandango*, czyli taniec ludowy podbitej przez Arabów Hiszpanii, który dał również podstawy flamenco. (Fandango to także określenie radosnego, tanecznego świętowania Kolum-

TANČZYĆ KAŻDY MOŻE
Uliczny festiwal tańca *joropo* w kolumbijskim Villavicencio. Tutaj pływają wszyscy – dzieci, młodzież i seniorzy, amatorzy i profesjonalści. Łączą ich taniec oraz miłość do tradycji. I wcale nie zraża gorący klimat czy długi wysiłek fizyczny.



FOT. EWELENA KORCINIŚKA

bijczyków). Porzuciwszy jego sztywną elegancję, kształtujący się z czasem nowy taniec *joropo* zapożyczył trzymanie tułowia, rąk i głowy, a także metrum oraz obroty od... walca. Do tego doszła szczypta rytmu afrykańskich niewolników, siła charakteru białych hodowców bydła oraz naturalizm rdzennych mieszkańców.

Przytupywanie, zwroty i obroty splatają się w grę kokieterii, siły i wdzięku. Tańcu towarzyszy też odpowiedni strój i śpiew. Mężczyzna jest ubrany w ciemne spodnie i najczęściej białą koszulę. W razie chłodu zakłada marynarkę ze stójką, a przed słońcem chroni go nie-

odłączny kapelusz. Kobieta ma na sobie białą bluzkę z wysokim kołnierzem oraz kolorową spódnicę, przy czym współcześnie nierzadko zakłada też zdobne sukienki. Całość dopełnia perfekcyjna fryzura i makijaż. Oboje tańczą w *cotizas*, zabudowanych sandałach z krowiej skóry z odpowiednio głośną podeszwą.

Choć możliwe są różne kombinacje, najczęściej używanymi instrumentami bywają: harfa, gitara czterostrunowa, marakasy i bandzola. Solista wyśpiewuje historie typowe dla realiów tutejszej kultury, często opowiada o miłości, ojczyźnie i tradycjach. Tym, co tutaj istotne, jest również improwizacja oraz

W RYTMIE COTIZAS

Zarówno mężczyźni, jak i kobiety, mają na stopach specjalne obuwie *cotizas*, wykonane z krowiej skóry. Podeszwy pozwalają na głośne przytupywanie i wybijanie rytmu.



FOT. EVELINA KORYCIŃSKA

Do kupienia w dobrych salonach prasowych oraz w prenumeracie



FOT. EWELINA KORZYCIŃSKA



FOT. EWELINA KORZYCIŃSKA



FOT. EWELINA KORZYCIŃSKA



FOT. EWELINA KORZYCIŃSKA

TWARZE JOROPO

Tancerze i tancerki – na głowach czarne kapelusze, we włosach kwiaty.

narastające tempo. Ten taniec to swego rodzaju walka. Nie tylko w figurach, lecz także w muzyce i śpiewie ważna jest kreatywność



Odwiedź naszą stronę www.rowertour.pl i znajdź nas na [facebook.com/rowertour](https://www.facebook.com/rowertour)

R E K L A M A

twórców. Ukierunkowana jest ona na przełamanie granic tego, co tradycyjne, ale bez prób naruszania fundamentów tradycji.

Najważniejszy festiwal *joropo* – Torneo Internacional de Joropo – od prawie pięćdziesięciu lat odbywa się w Villavicencio. To kolumbijskie miasto przemysłowe zamienia się wtedy na kilka dni w taneczny festiwal, którego kulminacją stanowi tzw. *joropodromo*, czyli korowód grup tanecznych, przemierzających kilometry w celu zaprezentowania widowni oraz jurorom swoich choreografii. Najmłodszy uczestnik festiwalu mają po kilka lat, a najstarsi są niekiedy w bardzo podeszłym wieku. Oglądając pokaz *joropo*, ma się wrażenie, że najważniejsze jest to, co płynie z wnętrza każdego tancerza. Nikt naprawdę nie może odmówić im, że wykonują to, co czują. ○



Ewelina Korzycińska
Absolwentka filozofii, dyplomowana nauczycielka hiszpańskiego, niedyplomowana angielskiego. Niegdyś edytorka tekstu, dziś odświeża swój język ojczysty, który nieco ucierpiał podczas kilkuletniego pomieszkiwania tu i tam. Podróżuje po Polsce, do czego motywacją jest mąż Kolumbijczyk.

Sławomir Kozdraś
Stocznia Gdańska to miejsce narodzin Solidarności. Dziś próżno szukać tu wolnościowej symboliki. Stosunek stoczniovców do przeszłości jest skomplikowany i daleki od sentymentalizmu. Istotniejsza jest teraźniejszość – konkurencja stoczni azjatyckich i brak polityki gospodarczej państwa przyczyniają się do utraty stabilizacji i płac poniżej oczekiwań. Dźwigi górujące nad Gdańskiem znikają, a szafki w szatniach pustoszeją.

BYŁA
SOBIE
STOCZYNIA





Wraz z kurczącym się przemysłem stoczniowym pracownicy stają przed wyborem: zostać w kraju czy szukać pracy za granicą – głównie w stoczniach norweskich i niemieckich.

Warunki pracy stoczniowców narażają ich na kontakt z wypalającym oczy błyskiem oraz wszechobecnym pyłem i kurzem.



Spawacze wewnątrz burty powstającego statku.
Latem słońce zamienia stalową konstrukcję w piec.
Zimą lodowaty wiatr hula między włazami.

Kilkudziesięciometrowe dźwigi odgrywają kluczową rolę przy budowie statków. Poruszają się po szynach, przenosząc za jednym razem aż do kilkunastu ton materiałów.



Dawna Stocznia Gdańska to nie monolit, zarówno jeśli chodzi o własność, jak i specjalizacje. Na jej obszarze działa szereg spółek produkujących różne jednostki – od potężnych trawlerów po luksusowe jachty.





Budowa statków pozostaje
wysoko zależna od manualnych
umiejętności stoczniowców. Nadal
powstają one z nieznacznym
udziałem automatyki.

Dźwigi to symbol stoczni i część krajobrazu Gdańska. Dzisiaj jako zagrożony gatunek część z nich objęta została ochroną konserwatora zabytków.



Sławomir Kozdraś

Fotograf, autor, podróżnik. Dla miesięcznika *Poznaj Świat* opisuje i fotografuje wszelkie zakątki świata, osadzając zagadnienia kulturowe i historyczne w kontekście ekonomiczno-społecznym. Absolwent London School of Economics. Doradca w brytyjskim banku centralnym.

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum.

Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

Ta potrawa o intrygującej nazwie pochodzi ze szwajcarskiego regionu Valais. Powstała podczas epidemii cholery w 1836 r., gdy handel nie funkcjonował normalnie i ludzie zmuszeni byli do stworzenia dania ze składników, które mieli w domach.



Przepis nadesłała:
Elżbieta z Pully w Szwajcarii

CHOLERA

SKŁADNIKI (dla 6 osób):

czas przygotowania
1 godzina i 40 minut pieczenia

350 g mąki
pół kostki zimnego masła
pół szklanki zimnej wody
pół łyżeczki soli
0,5 kg ziemniaków
2 pory
2 cebule
2 jabłka
200 g sera raclette

Mąkę wymieszać z solą, dodać masło i zagnieść. Następnie dodać wodę i szybko wyrobić kruche ciasto. Odstawić w chłodne miejsce.

Farsz: ziemniaki ugotować w mundurkach, ostudzić, obrać i ugnieść. Podsmżyć na patelni posiekane pory i cebule, następnie dodać drobno pokrojone jabłka i ziemniaki.

Dusić około 10 minut. Wystudzić i wymieszać ze startym serem.

Oddzielić $\frac{1}{4}$ ciasta, rozwałkować i pokroić w paski. Resztą wyłożyć formę. Nakłuć ciasto widelcem i wyłożyć na nie farsz, przykrywając paskami z ciasta. Piec w piekarniku 40 minut w temperaturze 200 stopni.



W 1843 r roku w aureoli największego odkrywcy swoich czasów wrócił do Londynu z podróży na najdalszy południowy kraniec globu ziemskiego James Ross, który przestawił niezbite dowody, że Antarktyda jest kontynentem, otoczonym ze wszystkich stron przez morza skute grubą warstwą lodu. Sporządził mapy jednego z nich, dwukrotnie większego niż europejskie terytorium Wielkiej Brytanii, opisał jego skutą lodami szelf oraz wysoką barierę lodową, która zagroziła mu drogę na ląd. Królewskie Towarzystwo Naukowe nagrodziło go za to Złotym Medalem, a brytyjska monarchini nadała tytuł szlachecki. Morze Rossa, Lód Szelfowy Rossa i Bariera Lodowa Rossa trafiły do atlasów geograficznych. Nie uwierzono natomiast Rossowi, że w wodach antarktycznych łowił ryby białokrwiste. Nie dowiódł ich do Europy, ponieważ... zjadł je okrętowy kot.

Musiąło upłynąć sto lat nim przedstawiono na to dowody. Dopiero w połowie ubiegłego stulecia ichtiologdy zdołali potwierdzić, że w omywających Antarktydę wodach, których temperatura przez większą część roku jest bliska zamarzania, pływają ławice ryb, które nie mają we krwi erytrocytów i hemoglobiny, zabarwiającej ją na czerwono. Ich niemal pozbawione łuski białe mięso jest prawie przezroczyste i pozbawione ości. A przy tym bardzo smaczne i zdrowe, ryby te nie mają bowiem żadnych pasożytów.

KOTY WŚRÓD LODÓW

Ryby białokrwiste, złowione w pobliżu należących do Francji Wysp Kerguelena, trafiły na nasze stoły w 1975 r. Przywiózł je ze swego dziewiczego rejsu subantarktycznego zbudowany w Stoczni Gdańskiej dla Morskiego Instytutu Rybackiego statek oceanograficzny „Profesor Siedlecki”. Nadano im u nas nazwę kerguelena. Pod koniec tego samego roku wziąłem udział w pierwszej Polskiej Wyprawie Morskiej tego statku oraz rybackiego trawlera „Tazar” na wody Antarktydy. Powierzono mi funkcję dokumentalisty. W drodze przestudiowałem historię odkrycia i poznawania Antarktyki. W jednej z angielskich locji morskich, opisujących geografii nieznanych nam dotąd akwenów, znalazłem historię o pierwszym, jak mi się wydawało, kocie wśród tamtejszych lodów. Zainteresowałem się wówczas, od kiedy i skąd koty domowe, których przodkiem był żyjący na obrzeżach Sahary pustynny kot nubijski, wyruszyły wraz z ludźmi na morskie i lądowe wędrówki, zasiedlając kolejno wszystkie odkrywające przez nich kontynenty.

Na podbój Europy i Bliskiego Wschodu

Większość współczesnych historyków jest zdania, że koty oswojono w Egipcie 4500 lat temu (choć są tacy, którzy mówią, że znacznie wcześniej), a udo-

mowiono je 1500 lat później. W delcie Nilu istniało wówczas miasto Bubastis (obecne Tell al-Basta). Jego patronką była bogini Bastet, przedstawiana w postaci kotki. Obok wzniesionej na jej cześć świątyni archeolodzy odkryli cmentarz zmumifikowanych kotów stanowiących za życia i po śmierci obiekt kultu. Czciłi je nawet faraonowie, którzy mieli w Bubastis jedną ze swych rezydencji. W jej pobliżu osiedlili się kupcy handlujący zbożem, wywożonym z Egiptu do Palestyny i Fenicji. W magazynach, w których gromadzili ziarno, wielkie szkody wyrządzały myszy. Dla ich wytepienia ściągnięto znad Górnego Nilu udomowione koty. Niektóre wraz ze zbożem trafiały na pokład okrętów zawijających do portów nad Morzem Śródziemnym. Wywóz ich był surowo karany, ale sporo przedostawało się na gapę.

Wiele informacji o kotach w Egipcie zawdzięczamy pierwszemu geografowi Herodotowi, który w V w. p.n.e. podróżując po tym kraju, widział, jak w pewnym mieście Koptowie zabił Greka za to, że niechcący uśmiercił kota. Jeśli w egipskiej rodzinie kot umierał naturalną śmiercią, jej członkowie na znak żałoby golili sobie brwi, a jeśli ginął w pożarze – również głowy.

W starożytności koty egipskie przypłynęły na statkach ze zbożem do Grecji oraz Italii. Rzymianie upodobali je sobie za szczególne umiejętności ło-

wiekie. Wielkim ich wielbicielem był cesarz August, stały się zatem ozdobą pałaców patrycjuszy. Ale przede wszystkim zatrudniono je do pilnowania zapasów żywności legionistów podbijających Transylwanię, Panonię, Germanię, Galię i Brytanię. Do Polski przybyły prawdopodobnie w wozach kupców arabskich wędrujących bursztynowym szlakiem nad Bałtyk, nim na gnieźnieńskim tronie zasiedli pierwsi Piastowie.

Ulubiona kotka Proroka

Najstarsze ślady hodowli kotów poza Egiptem znaleziono w biblijnym mieście Jerycho. Na Półwyspie Arabskim zyskały szczególny szacunek po objęciu władzy religijnej przez Mahometa. Jego wierną przyjaciółką była kotka Muezza. Jedna z opowieści mówi, że kiedy proroka niemal śmiertelnie pogryzły psy, kotka lizała jego rany, dopóki się nie zagoiły. Inna głosi, że Mahomet, wstając pewnego ranka na modlitwę, zauważył, że Muezza zasnęła w rękawie jego szaty. Uciął ten rękaw, by nie zbudzić ukochanego stworzenia, i odprawił modlitwę z jednym odsłoniętym ramieniem. Kiedy skończył, kotka zbudziła się i złożyła mu pokłon.

Z Arabami koty dotarły na Kaukaz, do Persji i Azji Środkowej. Drogą morską dopłynęły wcześniej do Indii, stamtąd do Birmy, Tonkinu, Chin i Japonii. W krajach hinduizmu i buddyizmu trafiły do świątyń pod opiekę mnichów. Nie było ich na statkach Kolumba, gdy dobijały do brzegów Nowego Świata, ale wkrótce przybyły do Ameryki z pierwszymi kolonistami. Z kozakami Jermaka przebyły trasę od Uralu do Pacyfiku. Na początku XIX w. znalazły się w Australii, gdzie ich wcześniej nie znano. I szybko się tam zadomowiły.

Koty i pingwiny

Najmniej znana jest próba osiedlenia kotów na niektórych wyspach leżących między Australią i Antarktydą. Jedną z nich była wyspa Macquarie, odkryta w 1810 r. przez australijskiego łowcę fok Fredericka Hasselborough, leżąca nie-

mal dokładnie w połowie drogi między obydwoma kontynentami. Uznawana była za ptasi raj. Żyły na niej pingwiny i słonie morskie. Żeglarze przywieźli na tę wyspę króliki, aby urozmaicić swoje pożywienie. Wydostały się one z klatek i rozmożyły w nieprawdopodobnym tempie, niszcząc naturalną roślinność. Do ich przetrzebiecia sprowadzono koty. Te jednak wolały polować na ptaki i podbierać pingwinom jaja. Króliki wytopiono po latach wirusem mukowiscydozy, a koty wybito.

Koty były na wielu statkach wielorybniczych od początku XIX w. Wiadomo o nich niewiele. Ich załogi nie pisały pamiętników. Istnieje natomiast dość obszerna literatura, podająca ciekawe szczegóły o obecności mruczków na statkach naukowo-badawczych. Należała do nich „Belgica”, na pokładzie której znajdowali się dwaj Polacy – Henryk Arctowski i Antoni Bolesław Dobrowolski. Był to pierwszy w historii statek, który pod koniec XIX w. wmarzył w lody u brzegu Ziemi Grahama w Antarktydzie Zachodniej i spędził w nich dwie zimy. Kilka razy groziło mu zmiążdżenie przez wypiętrzające się torosy. Zabrakło jedzenia. Dokuczały blisko 40-stopniowe mrozy. Dwóch marynarzy zmarło, jeden oszalał. Zaczęły pojawiać się symptomy zbiorowej hysterii, której uległ też okrętowy kot Nansen. Zaczął uciekać od ludzi, odmawiał przyjęcia pożywienia, wreszcie zmarł.

W 1901 r. na brytyjskim statku „Discovery”, którym płynął na Antarktydę Robert Scott, znajdowały się dwa koty, z których jeden upodobał sobie koję kapitana. Drugi został zagryziony przez psa husky, mającego ciągnąć sanie polarnika do bieguna południowego. W wyprawie angielskiego polarnika Ernesta Shackletona na statku „Endurance” w 1914 r., która podobnie jak „Belgica” ugrzęzła wśród lodów i zaczęła wraz z nimi dryfować, znajdowała się kotka o imieniu Lady Chipp, będąca maskotką załogi. Gdy

Shackleton musiał opuścić pochyłony niebezpiecznie statek, polecił kotkę zastrzelić, gdyż nie wytrzymałaby 200-milowego marszu przez splekane pola lodowe w kierunku najbliższego lądu. W tym samym roku na statku Roberta Scotta „Terra Nova”, który także wybierał się na biegun, znajdowała się czarna kotka o imieniu Night, która pierwsza powiła w Antarktyce pięć kociąt. Jej partnerem był biały



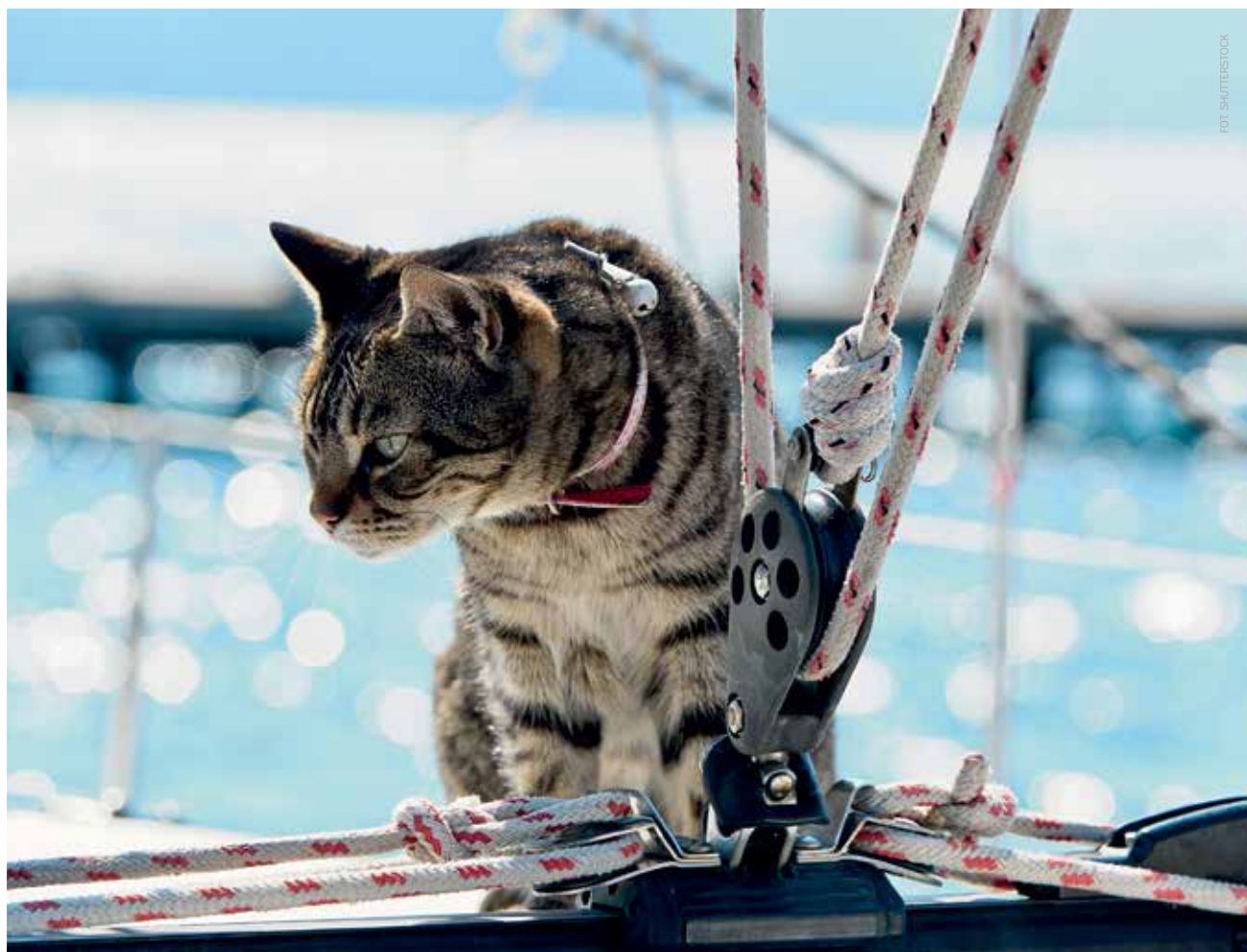
kot Noon. Jeden z ich szarobiałych kociaków, którym zaopiekował się chłopiec okrętowy Johan Koren, otrzymał imię Morning. Pozostałe trzeba było uśpić. Antarktyka nie była zatem łaskawa dla kotów.

Na jeden z brytyjskich statków polarnych zabliźnował się w doku czarny kot, który nie był świadom, dokąd płynie. Nazwano go Nigger. Był pechowcem, dwa razy wypadał za burtę. Ponieważ źle znosił kołysanie statku, otrzymał własny hamak, który bardzo sobie upodobał. W ostatniej wyprawie antarktycznej Shackletona w 1921 r. na statku „Quest” znalazł się kot o imieniu Questie, który uwielbiał wchodzić członkom załogi



Z PERSPEKTYWY

Ryszard Badowski



na ramię. Niemal wszyscy pozowali z nim do fotografii. Niestety, fala zmyła go w czasie sztormu.

Jeszcze pod koniec II wojny światowej koty zabierane były przez ludzi na Antarktydę. Jeden z okrętów Royal Navy, który w wojskowej misji wybrał się na archipelag Palmera, by sprawdzić, czy między jego wyspami nie ukrywają się niemieckie okręty wojenne, wziął na pokład młodego kota o imieniu Tubby. W 1963 r. w brytyjskiej bazie na Orkadach Południowych mieszkał kot Ginge, straszny pieszczoł i obżartuch, który większą część czasu spędzał w kuchni.

Traktat Antarktyczny, podpisany przez wszystkie państwa mające stacje naukowe na Antarktydzie, zabronił wprowadzania na nią obcych gatun-

ków roślin i zwierząt. Podobny, surowo przestrzegany zakaz, wprowadziła Norwegia na Spitsbergenie. Na statku „Profesor Siedlecki” nie było kotów ani psów, o czym zapewniam. Nie wyjawię natomiast nazwy statku, na jakim dopłynąłem kilka lat później do rosyjskiej osady Barentsburg w Arktyce, która zobowiązana była przestrzegać rozporządzeń norweskich władz. Rosjanie zobowiązali się nie sprowadzać do swej enklawy nowych kotów, w zamian za zgodę, by do końca życia pozostały w niej zwierzaki, które wcześniej zamieszkały w ich domach. Na naszym statku płynął koci blinda, o którym wiedzieli nieliczni członkowie załogi, którzy go wypatrzyli pod uchyloną plandecką jednej z szalup ratunkowych i po cichu podrzucali mu jedzenie. Gdy nasz

statek opuścił na keję drewniany trap, kot ujawnił się w całej krasie i z dumnie podniesionym ogonem pierwszy wkroczył na ląd. Dziwnym trafem pierwszy witający nas Rosjanie patrzyli wówczas w bok. Zresztą dotrzymali zobowiązania. Kot sam się do nich sprowadził. Co potwierdzam, pisząc ten tekst w Światowym Dniu Kota. ☺

Ryszard Badowski

Dziennikarz, podróżnik, operator filmowy, fotograf, pisarz, autor programu telewizyjnego „Klub sześciu kontynentów”. Pierwszy Polak, który dotarł na wszystkie kontynenty. Autor ponad 100 filmów i kilkuset artykułów o tematyce podróżniczej oraz 16 książek. Centrum jego zainteresowania stanowią odkrycia geograficzne Polaków oraz ich wkład w kulturę i osiągnięcia cywilizacyjne innych narodów. Z miesięcznikiem *Poznaj Świat* jest związany od 58 lat.

KOMPERDELL CARBON EXPEDITION VARIO 4 COMPACT

Austriacka firma Komperdell od wielu lat produkuje kije narciarskie i trekkingowe. Ma również w ofercie ochraniacze oraz rękawice. To uznana marka zarówno przez zawodowców, jak i amatorów. Jej produkty można spotkać na zawodach alpejskiego Pucha-

ru Świata czy przemierzając górskie szlaki. Miałem już okazję używać produktów tej marki – kijów narciarskich i protektora na kręgosłup. Czas na test kijów trekkingowych.

Test nie był łatwy, bo odbywał się w styczniowy weekend w Tatrach. Sporo śniegu, strome podejścia (m.in. wejście na Zawrat), niska temperatura, a do tego wspinaczkowe odcinki z koniecznością szybkiego złożenia kijów – prawdziwy test wytrzymałości i funkcjonalności. Model Carbon Expedition Vario 4 Compact ma długość 125 cm. Można je skrócić do 105 cm. Za regulację długości odpowiada Power Lock System II – prosty, ale skuteczny mechanizm blokujący. Z kolei po złożeniu kijów (rozkręceniu w 2 miejscach) ich długość wynosi zaledwie 39 cm. To niezwykle ważne, gdy trzeba schować je do plecaka lub przyczepić tak, aby nie przeszkadzały w poruszaniu się (np. nie wystawały z plecaka). Dzięki wykorzystaniu karbonu (2 górne segmenty) i tytanu (dolny segment z Titanal HF Rocksleeve) ważą zaledwie 198 gramów. Docenia się to szczególnie, gdy trzeba je

nieść przytrzymane do plecaka. Użyte materiały dobrze pochłaniają drgania – to również istotna właściwość, którą docenia się podczas długotrwałych aktywności. Kije mają wygodny uchwyt z niezwykle przyczepnej pianki, dzięki czemu korzystanie z nich nie stanowiło problemu nawet w mokrych rękawicach. Miękki pasek na nadgarstek zwiększa wygodę użytkowania (szczególnie na najbardziej stromych podejściach). Przy końcu kija znajduje się „talerzyk”, pracujący w zakresie do 280. Mimo że testowana wersja kijów nie miała zimowej wersji „talerzyka”, spisywał się on całkiem dobrze. Końcówka kija wykonana jest z tytanu, co zapewnia większą trwałość i wytrzymałość na uszkodzenia mechaniczne. Myśląc nad zakupem kijów, warto pamiętać, że firma Komperdell oferuje 3-letnią gwarancję i bezpłatną usługę naprawy (dotyczy to wszystkich kijów teleskopowych). Po dwudniowym, wytężonym teście nie znalazłem słabych punktów tego produktu. Kije są lekkie, wytrzymałe, wygodne w użyciu i dobrze skonstruowane w najdrobniejszych detalach. To godny polecenia produkt, który dobrze posłuży przez wiele lat.

Grzegorz Miedziński

Cena: ok. 400 zł
www.komperdell.com



FOT. EWA WITOSZYŃSKA



FOT. EWA WITOSZYŃSKA

Nowości, nowinki

W chwili oddawania do druku marcowego numeru kończą się targi ISPO w Monachium. My również prezentujemy kilka ciekawych nowości.



Cena: ok. 3000 zł
www.olympus.pl

LIDER W SWOJEJ KLASIE OLYMPUS OM-D E-M10

To supersmukły, pięknie zaprojektowany, lekki i najbardziej wydajny aparat systemowy w swojej klasie. Aparat Mikro Cztery Trzecie został wyposażony w wiele zaawansowanych technologii: duży wizjer elektroniczny, niezwykle wydajną 3-osiową stabilizację obrazu, szybki autofokus, a także wbudowaną lampę oraz Wi-Fi. E-M10 przewyższa lustrzanki cyfrowe zarówno pod względem gabarytów, jak i doskonałej jakości obrazu. Fotografowanie jeszcze nigdy nie było tak łatwe.

NA ZMIENNE WARUNKI MARMOT MISTO

Kurtka została stworzona dla wszystkich uprawiających aktywność fizyczną o wysokiej intensywności. Izolacja Polartec® Alpha® wypełnia jej przednią część. Kurtka jest lekka, wiatroodporna, utrzymuje wysoki poziom kompresyjności i schnie bardzo szybko. Tkanina Polartec® Neo Shell® umieszczona na ramionach i kapturze chroni przed wodą i śniegiem. Wodoodporność, wiatroszczelność i doskonała oddychalność zapewniają ochronę w każdych warunkach atmosferycznych. Atutem są podklejane szwy, anatomiczny krój oraz możliwość dopasowania do sylwetki za pomocą ściągacza w dole kurtki. System Angel-Wing Movement™ zapewnia pełną swobodę ruchów podczas uprawiania sportów.



Cena: ok. 1200 zł
www.ravenoutdoor.com



Cena: ok. 890 zł
www.milo.pl

DO ZADAŃ SPECJALNYCH MILO MOURO

To najbardziej zaawansowana technicznie kurtka z najnowszej kolekcji firmy Milo. Wykonana z 3-warstwowego materiału z membraną Gelanots, który charakteryzuje się niską wagą (77 g/m²), dobrą wodoodpornością (20000 mm/H₂O) oraz fenomenalną oddychalnością na poziomie 56000 g/m²/24h. Dzięki tym parametrom wilgoć nie zagości wewnątrz kurtki bez względu na warunki atmosferyczne oraz intensywność wysiłku. Kurtka ma techniczny, wspinaczkowy krój niekrępujący ruchów. Wysoko umieszczone kieszenie są dostępne bez konieczności rozpinania pasa biodrowego plecaka czy uprząży. Zintegrowany kaptur pomieści kask, a dodatkowo jest regulowany w 2 płaszczyznach.



Cena: ok. 560 zł
www.greenland.com.pl

LEKKI I WYTRZYMAŁY DOLOMITE CIVETTA PRO GTX

Sympatycy górskich wędrowek, którzy szukają lekkiego buta technicznego wyposażonego w membranę Gore-Tex i podeszwę Vibram, powinni zwrócić uwagę na model Civetta Pro GTX marki Dolomite. Komfortowa wyciółka znakomicie sprawdzi się podczas długich wycieczek, a gumowy otok i wzmocniona pięta zapewnią nie tylko ochronę przed kontuzjami, ale i długą żywotność butów.



Cena: ok. 940 zł
www.genesisgear.pl/esox

NIEZAWODNY STABILIZATOR GENESIS ESOX

To stabilizator do kamer sportowych GoPro, który pozwala uzyskać stateczne i płynne ujęcia z ręki bez stosowania drogich, dużych i ciężkich systemów. Składa się z zespołu dwóch bezszczotkowych silników elektrycznych oraz czujników żyroskopowych, dzięki którym kamera jest stabilizowana w dwóch osiach. To lekka, ważąca jedynie 300 g konstrukcja wykonana z aluminium, zasilana trzema akumulatorami 16340 3.7V (dostarczane w zestawie).

sprawdź ceny

ceneria.pl
outdoorowa porównywarka cen

Cena: ok. 1200 zł
www.ravenoutdoor.com

Cena: ok. 400 zł
www.amc.krakow.pl



NOWOCZESNA I WYDAJNA PETZL TIKKA® RXP

Mocna, wielowiązkowa latarka czołowa z technologią REACTIVE LIGHTING gwarantuje inteligentne dopasowanie światła do potrzeb użytkownika. Kształt wiązki i jej moc dostosowują się automatycznie dzięki czujnikowi wbudowanemu w latarkę. Wiązka światła może być szeroka, mieszana lub skupiona. Akumulator litowo-jonowy jest ładowany przez USB i przystosowany do częstego używania. Wygodna opaska elastyczna z dwuczęściową konstrukcją z tyłu głowy sprawdza się przy dynamicznych aktywnościach. Moc światła do 215 lumenów, zasięg do 110 m, waga 115 g.

NA EKSTREMALNE WARUNKI MEGAWATT JACKET

To kurtka z najwyższej półki, o charakterze hybrydowym z podwójną izolacją. Powstała z połączenia ociepliny Polartec® Alpha® oraz najwyższej jakości gęstego puchu 800 cuin, co dało świetne rezultaty. Puch jest w miejscach, które najbardziej narażone są na utratę ciepła – w korpusie oraz kapturze. Pozostała część kurtki to ocieplina Polartec® Alpha®. System Pertex Microlight zabezpiecza dostanie się wilgoci do puchu, co gwarantuje zawsze dobrą temperaturę ciała.

Down Defender ma za zadanie odprowadzać nadmiar wody. Kurtka ma dwie boczne kieszenie oraz elastyczne mankiety. Rękawy wyposażono w pętle na kciuk zabezpieczające nadgarstki przed utratą ciepła.



PONADZASOWE NEW BALANCE 574 POLO PACK

Kolekcja 574 POLO zainspirowana jest pikowanymi tkaninami i prostymi kolorami. Łatwe do łączenia z różnymi zestawami ubrań, dostępne są w szerokiej paletce kolorystycznej zarówno dla kobiet, jak i mężczyzn. W sprzedaży będą pasujące kolorystycznie koszulki polo. Zaprojektowany w 1988 roku model 574 z miejsca stał się jednym z najbardziej uniwersalnych i najpopularniejszych butów sportowych. To, co uczyniło 574 tak dobrymi, to przede wszystkim zawarty w podszewkach system amortyzacji ENCAP, dzięki któremu buty są trwałe, stabilne i znakomicie redukują wstrząsy podczas biegania. Kluczem do sukcesu okazała się także ponadczasowa stylistyka 574, która wyznaczyła trendy w projektowaniu obuwia sportowego na wiele następnych lat.

Cena: ok. 300 zł
www.newbalance.pl



NA KOBIECĄ STOPE KAYLAND TITAN K W'S GTX

To nowoczesne buty techniczne o solidnej konstrukcji, charakteryzujące się dużym komfortem użytkowania i lekkością. System ALS/ ANKLE zapewnia idealnie dopasowanie pięty w butcie, bez hamowania naturalnego ruchu stawu, dzięki zastosowaniu umieszczonego w butcie powyżej kostki paska, który zintegrowany jest z systemem sznurowania. Technologia Smart PU wykorzystuje gęstość podeszwy, zapewniając doskonałą amortyzację przy zachowaniu wysokiej trwałości. Technologia Vibram Tork wykorzystuje odpowiedni profil i grubość podeszwy, co czyni but idealnym na długie wędrówki. GORE-TEX PERFORMANCE zapewnia wodoodporność i oddychalność buta i utrzymuje stopy całkowicie suche.



Cena: ok. 790 zł
www.portalgorski.pl

PAKOWNY I WYGODNY THULE VELOCOMPACT 926

Model ten bazuje na nowym systemie, który sam się stabilizuje i umożliwia użytkownikowi puszczenie bagażnika od razu po umieszczeniu go na kuli haka (jeszcze przed ostatecznym zabezpieczeniem za pomocą dźwigni zamykającej). Zwiększona ładowność sprawia, że bagażnik można wykorzystać do transportowania nawet czterech rowerów (po dodaniu do zestawu opcjonalnego adaptera na czwarty rower). Dzięki zastosowaniu mechanizmu samostabilizującego, niewielkim gabarytom całego bagażnika i zwiększonej ładowności Thule VeloCompact 926 jest kompletnym, wszechstronnym bagażnikiem rowerowym do codziennego – i nie tylko – użytku.

Cena: ok. 2500 zł
www.thule.com



Mobilny gołębnik antyterrorystyczny

W okresie międzywojennym do łączności używano telegrafów i telefonów, ale sięgano też po inne metody. Żołnierze Korpusu Ochrony Pogranicza korzystali z gołębi pocztowych. Używali ich jako awaryjnego systemu powiadomienia podczas patrolowania terenu lub w przypadku zerwania linii telefonicznych. Ruchome gołębniki pozwalały na efektywniejsze wykorzystanie ptaków. Korpus Ochrony Pogranicza utworzono w 1924 r. do obrony wschodniej granicy przed penetracją agentów, terrorystów i uzbrojonych oddziałów dywersyjnych przerzucanych przez sowieckie służby specjalne na terytorium II Rzeczypospolitej.

Na zdjęciu stacja gołębi pocztowych 19. Batalionu KOP. Zdjęcie wykonano w okresie międzywojennym.







WIELKANOC W GWATEMALI



HISZPANIA - Tajemnice MONTSERRAT



SZLAKIEM GRUZIŃSKICH WIN

Poznaj Świat

MIESIĘCZNIK

Redaktor naczelna
Katarzyna Rojek
katarzyna.rojek@poznaj-swiat.pl

Zastępca redaktor naczelnej
Dariusz Małkowski
dariusz.malkowski@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 980

Sekretarz redakcji
Julia Michalczewska
redakcja@poznaj-swiat.pl
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Ryszard Badowski, Józef Baran, Maria Giedz, Mikołaj Gospodarek, Maciej Jastrzębski, Michał Kocharczyk, Marcin Kołpanowicz, Romuald Koperski, Sławomir Kozdraś, Marta Legieć, Marta Natalia Wróblewska

Grafika & DTP & Prepress
Artur Bury, Maciej Jurkowski, Kryspin Waliszewski

Korekta
Joanna Lewandowska

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordinator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
prenumerata@poznaj-swiat.pl

Jak zamówić prenumeratę?
Zadzwoń i dowiedz się: 58 350-84-64

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 77 1140 1065 0000 2145 6200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

 facebook.com/miesiecznikpoznajswiat

Reklama outdooru
Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Reklama świata
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Reklama agencyjna
Anna Szkołut
tel. 721 689 290

Reklama regionalna
Olga Kołakowska
tel. 501 050 624

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca. Redakcja zastrzega sobie prawo do zmian tytułów, opracowania redakcyjnego tekstów oraz graficznej korekty zdjęć. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń. Opinie zawarte w artykułach są osobistymi przekonaniami ich autorów.

GRIVEL®



SINCE 1818

THE NEW MACHINES, BACK TO THE FUTURE



...THE LIGHT MACHINE



...THE TECH MACHINE



...THE MACHINE 3.0



Thomas Bubendorfer in Lillaz, Cogne, IT. Ph Lorenzo Belfrond for Grivel



[grivel.com](https://www.grivel.com)   



Swedish
design



Stworzone
do outdoorowych
zabaw


Kozi Kidz
Designed for playing outdoors



dłakawa, kolorowa aplikacja!



dystrybutorem
i sprzedawcą marki


Kozi Kidz jest:

 www.sklepgorski.pl

#KoziKidz